

Kamena

LUBLIN 15.X.1966 Nr 19 (352) R. XXXIII

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

W chwili, gdy drukował się niniejszy numer „Kamena”, w Warszawie obradował Kongres Kultury Polskiej. Wzięli w nim udział przedstawiciele najwyższych władz partyjnych i państwowych oraz ok. 1500 delegatów z całego kraju.

Zarówno obrady jak i uchwały Kongresu przyniosły niewątpliwie bogaty materiał tak w ocenie przeszłości jak i przede wszystkim postulatów na przyszłość. W następnym numerze „Kamena” zapoznamy Czytelników z najważniejszymi problemami omawianymi na Kongresie, który był jednocześnie ukoronowaniem obchodów ostatniego roku Tysiąclecia.

TERESA GABRYSIEWICZ

Pamięć

Czasem klawisz wibruje
choć odszedł wirtuoz
opustoszała sala
spuszczona kurtynę

i to jest źle

czy muzyką powinien rządzić
realizm

nieposłuszne klawisze
stroiciel poskromi

gorzej
jeśli na tym
jedynym wibrującym klawiszu
zostanie tyle piękna
że i stroiciel nie zechce
zmącić
piersi fortepianu

Tomaszów Mazowiecki

MARIA JOZEFACKA

Jestem okrętem
płynę do ciebie
jestem deszczem
przychodzę szumieć

czy wyrośniesz drzewem powtórnie
arko oliwna
arko cedrowa
arko jarzębin co dom ościęły
były

czy zaladunek tylko to twój owoc
martwych w zająku rzeczy
niepotrzebnych
czy zamiast zieleń ratować jak w
dziupli
schronienie dajesz pajakom i węzom
o wydrążonych form bezużyteczność

Jestem deszczem
przychodzę szumieć
Jestem falą
przychodzę napelniać

Lublin

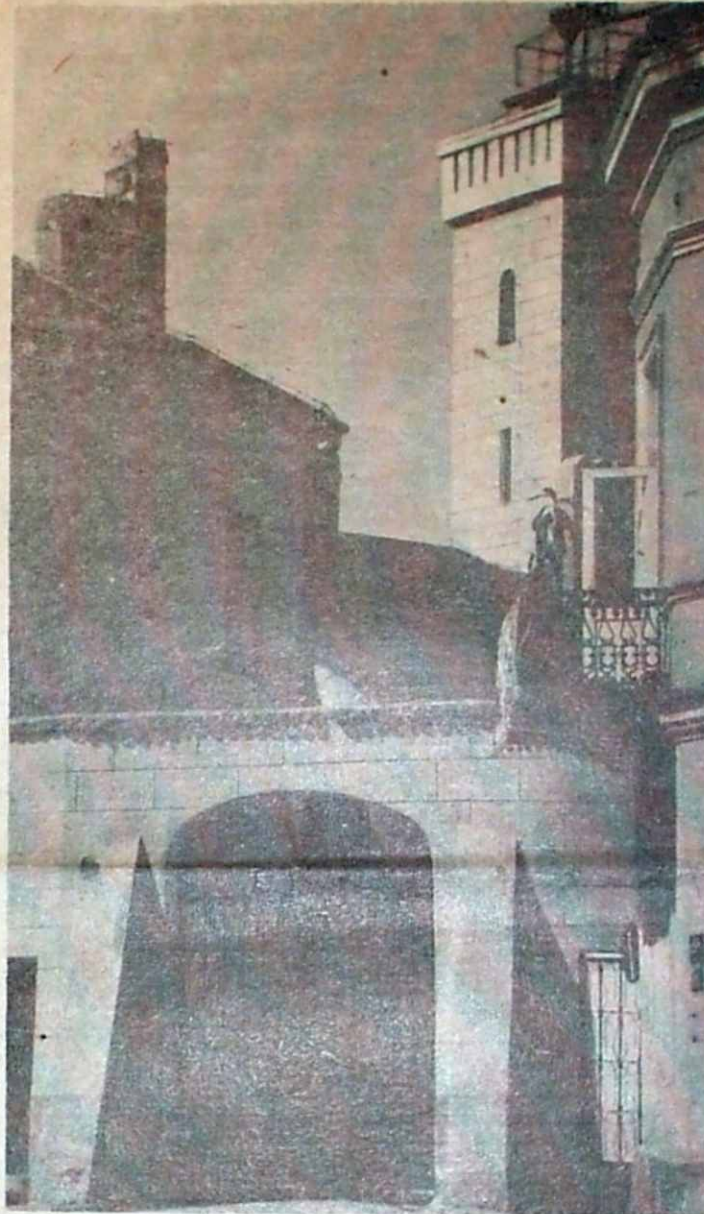
STEFAN RYMKOWSKI

za oknem
mam swój obrus nieba
i kielich ziemi
napelniony wędrowką

dję
po za serce

gorzki
jest smak
człowieka

Elbląg



Stary Radom

Fot. Wojciech Stan

RADOM w remoncie

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

— W czteroosobowym w „Polonii” — mówi pani z recepcji. — Albo prywatnie.

Zawsze taki tłok? — pytam, jakby zapominając, że jestem w kraju, który usiłuje rozwijać turystykę bez hoteli.

— Zawsze. Trudno się jednak dziwić, mamy tylko trzy hotele, a przy tym kilka zakładów przemysłowych, odwiedzanych codziennie przez dziesiątki delegowanych.

W YCHODZĘ na ulicę Zeromskiego. Już po czwartej, więc tłumy wypełniają radomski deptak, przeważa młodzież, ładne dziewczęta noszą duże kokardy, modne gdzie indziej kilka lat temu. Zatrzymuję się na chwilę w jakiejś bramie, aby zawiązać sznurowadło i w osłupieniu przecieram oczy: „zum restaurant”, „Baczewski — likiery” — czytam na ścianie. Czerń liter wyraźnie kontrastuje z kremowym tynkiem, nie ma mowy, aby stary napis przesaczył się przez warstwę późniejszej farby.

Kolejne zaskoczenie czeka mnie przed hotelem „Polonia”, który z szeregu podobnych niewysokich kamieniczek wyróżnia się napisem „V — Zwycięstwo Niemiec na wszystkich frontach”. Dwadzieścia jeden lat po wojnie, co za ślepotą! Biegne przez cuchnącą jakimś diabelskim sosem klatkę schodową, wchodzę do portierni i z niewinnym wyrazem twarzy, spokojnie, pytam: czy widziała szanowna pani te napisy na murze? A co ma pisać, jak kręca film wojenny? W całym mieście zobaczy pan te różne „apotheki” i „restauranty”.

W ten sposób J. Lomnicki, kręcący w Radomiu plenery do „Kontrybucji”, pozabawił dziennikarza zawodowej satysfakcji. Nieco później dał jednak powód do kilku refleksji, albowiem właśnie tego dnia odbyło się spotkanie z reżyserem.

Z hotelu do „Domu Esterki”, którym włada Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, niedaleko. Obszer- ny rynek z wielkim prostokątem brudnego basenu pośrodku oświetla kilka lamp i skromna iluminacja w kształcie świątecznej choinki —

śląd po niedawno fetowanych „Dniach Radomia”.

Wewnątrz zabytkowego budynku sporo ludzi, ale tłoku nie ma. W salach na parterze bar kawowy, stoliki, telewizor i napięte skupienie graczy, przerywane czasami okrzykiem „impas duszą gry”, albo pełną goryczy analizą „kto wychodzi spod króla, kto?”

Na pierwszym piętrze powoli gromadzą się chętni poznania wybitnego dokumentalisty, autora „Narodzin statku”. Na ścianach długiego pokoju wystawa malarstwa miejscowych artystów, urządzona z okazji „Dni Radomia”. Przeważają pejzaże à la Zachęta, widoczki miasta, rzeczki, „malownicze” zakątki.

— Interesują pana? — zaczepiam dwudziestolatka, którego młoda twarz i niedbaly ubiór wyróżniają z otoczenia.

— Coś pan? Te landszafy?!

— Siadamy na szerokiej ławie.

— Co się robi w Radomiu, gdy się nie ma co robić? — usiłuję żartować.

— Kino, kawiarnia...

— ... i spacer. A teatr, może koncert, spotkanie z kimś ciekawym?

— Teatr w remoncie, ale gra w zastępczej sali, orkiestre nazywają symfoniczną, ale większość muzyków utrzymuje się z gry w kawiarniach. Ciekawych spotkań nie za dużo, jedno z nich będzie właśnie za chwilę.

Niestety, okazało się nudne. Pan wprowadzający reżysera nie był specjalnie przygotowany do swojej roli, a audytorium mało aktywne w zadawaniu pytań. Po godzinie wszyscy się rozeszli. Wychodząc, zająłem jeszcze do sali na parterze, ci sami brzydki nie- wzruszenie tkwili na stanowiskach.

Dopiero po ósmej, dzwonię więc do człowieka, którego adres otrzymałem w Lublinie, Jerzy Szymkiewicz-Gombrowicz jest w domu, mogę przyjść zaraz.

(Dokończenie na str. 4)

Konkurs: środek czy cel?

WOJCIECH JANKOWERNY

W IZJA nagrody stanowi element mobilizujący. Przedsięwzięcia, o których normalnie nawet się nie myśli, nader często podejmowane są pod

wplywem bodźca specjalnie podsuniętego przez organizatorów, a stanowiącego wyróżnienie przynoszące nie tylko splendor, lecz również korzyści materialne. Komuż by się chciało na oczach ubawionej gawiedzi wdrapywać się na smukły, wysoki i gładki maszt, gdyby nie zawieszono na jego wierzchołku pięta kielbasy, torby słodyczy i butelki rozweselającej ducha? Tę jarmarczanką konkurencję urządza się jeszcze niekiedy gwoli dostarczenia uciechy i rozrywki zebranemu tłumowi. Koszt niewielki, a efekt zapewniony. Zawsze przecież znajdzie się kilku śmiarków żądnych poklasku i produktów do darmowej uczy. Władom też z góry, że zanim zdobywca dosięgnie zawieszonych skarbów, zanim będzie mógł je z dumą obnosić wśród zachwyconych gapiów, jego rywale — poprzednicy — i on sam zresztą — wysiłkiem, potknię-

clami, ześlizgiem w dół oraz haniebną rezygnacją z podejmowania dalszych prób wywołają huragan śmiechu. Przypuszczać też należy, że bez medali, nagród i związanej z tym sławy rozwój sportu nie osiągnąłby tak imponujących rozmiarów.

Tak więc nagroda, konkurs, stanowią czynniki mobilizujące i w wielu wypadkach tylko one zdolne są pobudzić do działania. Dotyczy to każdej dziedziny życia, także kultury. Wystarczy przypomnieć konkurs „Piękno na co dzień” i jego pionierską rolę w zwróceniu uwagi pracowników i działaczy kultury na estetykę placówki kulturalnej oraz jej najbliższego otoczenia. Podobnych imprez przeprowadzono w kraju wystarczająco dużo, by zwrócić na nie baczniejszą uwagę. To nie brak czy niedosyt konkursów każe się nimi zająć. Wręcz przeciwnie, konkursy rodzą się nadszpiewanie często. Oglaszają je najprzeróżniejsze instytucje, stowarzyszenia, gazety. Swym zasięgiem obejmują najczęściej cały

kraj, choć nie można narzekać na brak konkursów wojewódzkich, powiatowych, a nawet gromadzkich. Niektóre z nich przetrwały się w imprezy stałe, powtarzane cyklicznie z roku na rok, niektóre urosły jeszcze bardziej — przetrwały się niejako w instytucje.

Dobrze to czy źle? Dylemat ten trudno rozstrzygnąć. Jednak spróbujmy podjąć taką próbę, gdyż to, co się obecnie dzieje w konkursologii i konkursomanii, poważnie niepokoi. Wydaje się, że zapomniano o roli konkursu, że splycono nie tylko jego idee, ale także realizację i efekty.

Konkursy mogą — i co więcej — powinny ożywiać i pobudzać działalność kulturalno-oświatową. Tkwią w nich nieograniczone możliwości inspiratorskie. Trzeba tylko nie zapominać o ich właściwej roli. Zawsze powinny być środkiem, a nie celem samym w sobie. Tę zasadę, niestety, zbyt często organizatorzy lekceważą. Obecnie, z bardziej popularnych, wskazać można jedy-

nie na dwa konkursy, które nie zaprzepaściły swej szansy i swych walorów. Pierwszy z nich, konkurs recytatorski, w którym eliminacje są już tylko końcowym i wcale nie najistotniejszym akcentem, uczy szerokiej kręgi społeczeństwa zasad pięknej mowy, zapoznaje z poezją i jej twórcami. Drugi — „Wieś bliżej teatru” — wywołał duży ruch przybliżając teatr do mieszkańców wsi, popularyzując wiedzę z tej dziedziny, kontaktując widza z twórcą i wykonawcą również poza wymiarami ramy powiatowej sceny czy wiejskiej re- mizy strażackiej. Efektem tego konkursu są liczne rozsiadane po kraju koła miłośników teatru oraz rozpoczynająca się odnowa w artystycznym ruchu amatorskim. Organizatorom obu wspomnianych imprez konkursowych należy się duże uznanie. Przede wszystkim za trafne sprecyzowanie założeń, za uniknięcie łatwizny tak podciągającej w tego rodzaju przedsięwzięciach oraz za konsekwentne pokierowanie przebiegiem konkursów i realizowanie ich celów.

Cóż, kiedy o innych imprezach tego typu nie da się podobnie powiedzieć. Konkursy piosenkarskie i plastyczne są w zasadzie kopią ich starszych braci adresowanych do twórców zawodowych. Trudno się

(Dokończenie na str. 3)



liczbę zarobkujących, wobec czego same dane o płacach nie wystarczają dla porównania spożycia indywidualnego. Mamy również stosunkowo wysoki poziom spożycia społecznego. Nie można więc oceniać kształtowania się stopy życiowej jedynie według samego tylko ruchu płac nominalnych lub porównywania cen na pewne towary. Równie błędne byłoby jednak występowanie w obronie samej sytuacji w dziedzinie płac. Płaca nie jest przecież jedynie regulatorem spożycia indywidualnego, ale ma przede wszystkim stanowić bodziec do pracy. A tę właśnie decydującą rolę spełniała dotąd źle. Dlatego też trudno negować słusność ironicznych uwag niektórych cudzoziemców, że nie byłoby źle mieć ich płace (na przykład zachodniemiecką), ale za naszą pracę.

Obecna sytuacja w dziedzinie płac jest w znacznej mierze owocem przesadnych wyobrażeń, że w socjalizmie nie płaca ale „również inne” bodźce skłaniają ludzi do pracy, że wreszcie niedobrze jest „zbyt akcentować” bodźce materialne itp. Dziś już błędy popełnione w kwestii bodźców skłaniających do społecznie niezbędnej pracy są dość jasne. Dziś przywracamy materialną treść naszemu ideowemu zainteresowaniu rozwojem socjalizmu. Nie chcemy już oddzielać zainteresowania ideowego od materialnego, lub przeciwnie stawiać ich sobie. Ideowe zainteresowanie buduje społeczeństwo socjalistyczne i komunistyczne powstało i powstaje nadal właśnie z dogłębnego poznania naszych interesów materialnych, związanych z egzystencją. Ideowe zainteresowanie jest uogólnionym i skoncentrowanym interesem materialnym; ma ono nam pomóc w zorientowaniu się w codziennym splocie bezpośrednich interesów indywidualnych i w nadawaniu im

kierunku socjalistycznego. Realne pojmowanie i poznawanie indywidualnych materialnych interesów i tworzenie z nich nurtu pełnej inicjatywy społecznie niezbędnej pracy jest jednym z twórczych przejawów ideowego zainteresowania socjalistycznym rozwojem społeczeństwa.

W latach 1955—1960 obowiązywała, jak pisze autor, teoria szerszego tempa wzrostu płac realnych niż nominalnych, teoria oderwana od konkretnych procesów ekonomicznych. Siłą napędową tej polityki było dążenie do zwiększenia spożycia indywidualnego drogą obniżki cen artykułów konsumpcyjnych i usług. Dziś już wiemy — pisze Horalek — w jakim stopniu polityka ta przyczyniła się do niwelacji płac, jak pogłębiała oderwanie się cen szeregu wyrobów i usług od realnego ich poziomu, jak powodowała naruszenie harmonii rynku. Musimy jednak wciąż jeszcze przezwyciężyć resztki iluzji o podnoszeniu się stopy życiowej jako automatycznym wyniku istnienia ustroju socjalistycznego; nie brak także wzdychania do lat, kiedy dzięki obniżkom cen w dniu 1 kwietnia zawsze nieco wzrastała stopa życiowa. Deformacja rynku, ukryte i jawne podwyżki cen, zwiększanie się potencjalnej, niemożliwej do zrealizowania siły nabywczej i inne tego rodzaju zjawiska stały się jednym z sygnałów nieefektywności rozwoju gospodarczego. Zamrożenie średnich płac nominalnych w latach 1962—1964 było raczej reakcją „a posteriori”, a w rzeczywistości sprzeczną było z dążeniami do aktywizacji społeczeństwa mającej na celu poprawę sytuacji gospodarczej.

Dlatego też — podkreśla autor — w nowym systemie zarządzania chodzi nie tylko o skuteczniejsze powiązanie płac z wynikami gospodarczymi, lecz także o taki globalny wzrost zarobków, który byłby dość atrakcyjny, aby skłonił ludzi do przewy-

życzenia trudności i komplikacji w naszej gospodarce.

W bieżącym roku jednak faktyczna sytuacja w dziedzinie płac jest na razie raczej dowodem twardego żywota starych praktyk niż wprowadzania nowych zasad indywidualnych bodźców materialnych. Świadczy o tym fakt, że: a) zarobki wrażliwie bardzo powoli, ponieważ znacznie słabiej rośnie liczba zatrudnionych, pochłaniając zasoby finansowe, które miały się objawić wyższymi kwotami przy wypłacie; b) bardzo powoli wprowadza się właśnie te bodźce materialne, które mają zapobiegać takiemu niekorzystnemu rozwojowi sytuacji tj. mają skłaniać do orientowania się na intensywny rozwój gospodarki.

Dotychczas mało się wykorzystuje możliwości zwiększenia zarobków, zaś wstępne badania tej sprawy w przedsiębiorstwach ukazują najrozsądniejszą przyczynę takiego stanu rzeczy. Jedni boją się obiecać lub wypłacić wynagrodzenie za częściowe wyniki w ciągu roku i czekają jak wypadnie całoroczna gospodarka. Wówczas ludzie też niechętnie wierzają i chętniej czekają z przyłożeniem się do pracy. Gdzie indziej — a jest to znacznie gorzej — zwiększa się raczej liczbę zatrudnionych sądząc, że w ten sposób zakład lepiej się przygotuje do bardziej surowych warunków ekonomicznych przyszłych lat. W ten sposób nie tylko popelnia się błąd, ale również płaci bzdurę właściwie ludziom. Są wreszcie wypadki, że kierownictwo gospodarce nie nauczyło się jeszcze dobrze ludziom płacić, tak aby w ten sposób uzyskać większą produkcję lub lepszą jakościowo pracę. W odrośnięciu od lat poprzednich — konkluduje autor — obecnie powolny wzrost płac nie jest już zwiniony wyłącznie przez odgórną dyrektywę, lecz także przez sposób zarządzania w samym przedsiębiorstwie.

DZIŚ W NASZEJ RUBYCE ZWRACAMY UWAGĘ NA INTERESUJĄCY ARTYKUŁ CZESKOŚLÓWACKIEGO TYGODNIKA „KULTURNI TVORBA” PT. „CZY NASZE PŁACE SĄ DOBRE?”

Jeżeli chcemy się dowiedzieć jakie są płace w Czechosłowacji — pisze w 38 numerze tego tygodnika Milan Horalek — potrzebne nam są przede wszystkim informacje o płacach w innych krajach. A jeżeli mamy się wykazać krytycznym podejściem do siebie samych, to nie będziemy się porównywać wyłącznie z krajami, które były zawsze za nami, lecz będziemy wyciągać wnioski także z porównań z tymi, które miały lub mają podobny do naszego poziom gospodarki i warunki geograficzne. Takie porównanie jeśli chodzi o płace w ciągu ostatnich dziesięciu lat, nie wypada na naszą korzyść. Konkretna analiza danych z 12 państw socjalistycznych i kapitalistycznych wskazuje: a) że mamy najniższe tempo wzrostu płac nominalnych (średnich zarobków); b) że szereg krajów przeciwnie nas również jeśli chodzi o tempo wzrostu płac realnych; c) że mamy najdalej posuniętą niwelację płac, a więc i szereg niedociągnięć w stosunku do ludzi pracy.

Z drugiej strony — kontynuuje autor — możemy się wykazać tym, że mamy wysoki stopień zatrudnienia, a więc większą

Karin i Polska

JAN BARECKI



KARIN Warnke poznałem na wystawie współczesnej plastyki. Stałem w polskiej sali i obserwowałem zwiedzających. Weszła z grupą młodzieży, ale została już przy pierwszym obrazie. Młodzi przedelflowali wzdłuż ścian, ten i ów podchodzi bliżej do którejś pracy i po chwili cała grupka zniknęła u Schwedów. Została tylko Karin. Szała wolno od obrazu do obrazu, zaglądała do katalogu, widać było, że interesuje ją to malarstwo. Na pewno jakaś studentka akademii sztuk pięknych, przyszła plastyczka, która korzysta z okazji podpatrzenia obcego warsztatu.

Wkrótce okazało się, że nie miałem racji. Wprawdzie Karin była studentką, ale ze sztukami pięknymi nie miała nic wspólnego. Studiowała prawo, malarstwo polskie interesowało ją zaś dlatego, że było właśnie polskie. Bo Karin Warnke, młoda, dwudziestoletnia dziewczyna, córka księgowego spod Drezna, zakochała się w Polsce. Sama nie wie, kiedy to się stało. Nie potrafi, a może nie chce powiedzieć, co ją skłoniło do tego, żeby obdarzyć takim uczuciem obcy sobie kraj. Nie, nigdy nie była w Polsce, nie był w niej nikt z jej rodziny. Dlaczego więc ta młoda Niemka nauczyła się trudnego języka, dlaczego kupuje i czyta w oryginalne Breż i Andrzejewskiego, dlaczego kompletuje polskie płyty?

Karin ma płowe, krótko obcięte włosy, niebieskie oczy i lekko zadarty nos. Jest wysoka, wyższa ode mnie, kiedy się do niej zwracam, muszę spoglądać w górę. Rozmawiamy o kraju, którego nigdy nie widziała. Wie za to o nim bardzo wiele. Po raz pierwszy mogę nie tylko opowiadać o Polsce, ale także o niej słuchać. Wiedza Karin o naszym kraju jest solidna, podbudowana dobrą lekturą, jej sądy trafne, zaskakujące swoją świeżością.

— Podoba mi się — mówi na przykład Karin — że rewolucja przemysłowa w Polsce nie odciągnęła młodzieży od studiów humanistycznych. A przecież potem trzeba iść na wieś, do ośrodka kultury lub podstawowej szkoły. Nie chce się wierzyć, że na jedno miejsce na uniwersytecie przypada u was trzech kandydatów. To nie jest romantyzm, to jest najbardziej autentyczny rozrządek.

— Myślę — mówi Karin innym razem — że wy Polacy i my Niemcy wiemy o sobie nawzajem już bardzo wiele. Niestety, za mało się jeszcze znamy. Wydaje mi się, że sama turystyka nie rozwija tej sprawy. Nam potrzeba jak największej osobistych kontaktów, osobistych przyjaźni. Dotyczy to szczególnie młodzieży. Czy nie warto pomyśleć o jakiejś szerokiej, zorganizowanej wymianie, o jakichś polsko-niemieckich obozach, domach wczasowych, kempingach, o jakichś polsko-niemieckich czynach społecznych, w czasie których młodzi Polacy i młodzi Niemcy poznawaliby

się lepiej i nawiązywali trwale znajomości?

Słucham tych uwag Karin i przestaję się dziwić, że ta dziewczyna mówi po polsku. Idziemy ulicami Rostocku i bez przerwy spotykamy się z naszym krajem. Miasto organizuje tradycyjny już Tydzień Morza Bałtyckiego, stąd w powodzi flag krajów bałtyckich niezliczona ilość biało-czerwonych bander. Po mieście jeżdżą „polskie” tramwaje i „polskie” autobusy, jest kilka polskich wystaw, koncertują polskie zespoły i polscy soliści. Ale z Polską można się tu spotkać nie tylko z okazji Tygodnia Morza Bałtyckiego. W oknie księgarni niemieckie przekłady polskich książek, które mają tu coraz więcej czytelników. Czasem zjawia się polski film, przyjeżdżają zespoły artystyczne. — Kiedy występuje Bogna Sokorska — mówi

ku polskimi: Pokój — Przyjaźń — Socjalizm. Szli i dorośli. Biało-czerwone chorągiewki w ich dłoniach, takie jakie i u nas sprzedaje się przed 1 Maja czy 22 Lipca, miały w sobie coś z symbolu. Powiewiali nimi ci obcy ludzie, pozdrawiali zgromadzonych na trybunie, przez pewien czas mogło się zdawać, że jesteśmy w jakimś polskim mieście na jakiejś świątecznej manifestacji. Ale to byli Niemcy i tę polskość tworzyli także Niemcy.

Rozmawiałem potem na ten temat z niemieckimi znajomymi. Jak Polak znajduje się za granicą, tropi przejawy świadczące o tym, że nas tam znają, zwraca uwagę na wszystko, co pochodzi z jego kraju. Rostocka niespodzianką była czymś więcej niż dobrze przyjęty występ artystyczny, czy popularność jakiegoś polskiego artykułu. Chwilami więc dobry pomysł zupełnie tak, jakbym reprezentował jakąś oficjalną instytucję. Pochwalilem jednak za wczesnie. Nie przypuszczałem, że to co widziałem podczas manifestacji było tylko fragmentem pewnej bardzo ciekawej inicjatywy.

Nie wiadomo, kto wpadł na ten pomysł, być może narodził się w czasie jakiejś dyskusji. Jego istota polegała na tym, aby jak najwięcej mieszkańców Rostocku, zwłaszcza młodzieży, wciągnąć do przygotowania Tygodnia Morza Bałtyckiego. Wciągnąć — to znaczy zainteresować ją problematyką obchodów, wywrzeć jakiś wpływ na jej świadomość. A ponieważ „Tydzień” ma służyć przede wszystkim zbliżeniu narodów mieszkających nad Bałtykiem, to najlepszym udziałem młodzieży w obchodach będzie poznanie swoich sąsiadów. Znalezione formę zachęcającą do tej pracy — udział w manifestacji. W ten sposób dziesiątki szkół i wiele załóg, podzieliwszy się na grupy „narodowe”, przez kilka miesięcy poprzedzających manifestację zbierało wiadomości i materiały o „swoim” kraju, zapoznawało się z jego historią i dniem współczesnym i na tej podstawie przygotowywało się do pochodu: szły stroje ludowe, uczono się tańców, montowano plansze. Grupa polska liczyła ponad tysiąc osób. Wszystkie spotkały się z naszym krajem, zapoznały się z niektórymi problemami Polski, miały okazję do zastanowienia się nad wzajemną przeszłością, która jest tak pomocna w zrozumieniu przemian, jakie zaszły dzięki powstaniu NRD w stosunkach polsko-niemieckich.

Nie dziwi mnie już, że Karin mówi po polsku. Nie wiem, ile jest w Republice takich dziewcząt czy chłopców, którzy nauczyli się polskiego, bo spodobał się im nasz kraj, nasza kultura, my, Polacy. Wiem jednak, że bardzo wielu młodych Niemców ma możliwość poznania naszego kraju. I pójdą w ślady Karin, tej płowolnej dziewczyny niemieckiej, która pokochała Polskę.

Notes niemiecki

kolega z miejscowej redakcji — bilety są rozprzedane w ciągu godziny. Polska dociera do tego miasta również dzięki morzu. Nie ma dnia, aby polski statek nie zawinął do rostockiego portu. Czasem, kiedy na rędzie zjawiała się „Kopalnia Wujek”, statek dowodzony przez kapitana z w. Danutę Walas Kobylką, mieszkańcy Rostocku okazywali coś więcej, niż zwykłą gościnność.

Wiele jest Polski i polskich praw w Rostocku. Podobnie jak w całej Niemieckiej Republice Demokratycznej. To jednak, co zdola dojrzeć wzrok przypadkowego turysty, jest — oczywiście — tylko cząstką problemu, w wielu wypadkach nie ta najważniejsza.

Na zakończenie Tygodnia Morza Bałtyckiego organizowana jest corocznie wielka manifestacja ludności. Przed trybuną honorową przeliczają dziesiątki tysięcy ludzi. Pochodowi nadaje charakter młodzież, jej pomysłowość i werwa, dzięki której manifestacja przemawia do widzów i wciąga ich w najważniejsze sprawy ojczyzny. I tym razem wszystko zaczęło się od przemówień. Potem pochód ruszył. Stałem w grupie Polaków obserwując defilującą szereg. W pewnej chwili niespodzianka. Przed trybuną nadciągnęły szeregi młodzieży... Związku Radzieckiego, potem Polski, Szwecji, Norwegii... Las biało-czerwonych sztandarów, grupki młodych chłopców i dziewcząt w polskich strojach ludowych, sylwetka warszawskiej Syrenki, plansze informujące o dobru naszego kraju, hasła w języ-

COŚ się wreszcie zaczyna dziać w państwie duńskim. W lubelskiej prasie pojawiają się ostatnio rozmaite wystąpienia, które wskazują na to, że nowy sezon literacki (już nie mówiąc o nowym roku kulturalno-oświatowym) w Lublinie będzie wyglądał zupełnie inaczej, niż dotychczas. W pewnej mierze stało się to za sprawą Lubelskiego Klubu Literackiego, który w ostatnim roku wykazał sporą prężność organizacyjną i przygotował grunt wygodniejszy dla startu przyszłych pisarzy. Wkrótce ukaże się w Wydawnictwie Lubelskim almanach poetycki Klubu, w roku przyszłym zbiorowy tom prozy oraz pozycje indywidualne. Ostatnio Klub poczynił kroki, które mogą lubelskie sprawy literackie wynieść na wodkanę ogólnopolską. Przy poparciu Zarządu Głównego ZLP Klub zorganizuje bowiem w Lublinie ogólnopolski zjazd młodych pisarzy.

Sprawom tego Klubu poświęca swój felieton „Do biegu gotowi...” Sławomir Zieliński w „KULTURZE i ŻYCIU” (dodatek do „Sztandaru Ludu”), pisząc m. in.:

„Fakt, że właśnie w naszym mieście będą miały miejsce kłótnie o nowy model literatury, o prawo awansu nowych idei, o nowe próby w zakresie formy, o nowe postawy twórcze (...), daje korzystne świadectwo naszemu niedawno zrodzonemu zjawisku, jakim jest ów ohotniczy zaciąg literacki”.

Szczególnie godny uwagi jest w tym kontekście redakcyjny tekst „Proponujemy rozmowę”, który zapowiada rewolucję w polityce redakcyjnej „Kultury i Życia”. W wyniku rozmów przedstawiciele młodego środowiska literackiego Lublina z redakcją „Kultury i Życia”, w czasie których zastanowiono się nad sposobami wzajemnej współpracy, powstał projekt zmiany charakteru dodatku do „Sztandaru Ludu”. „Ze zwoj strony — czytamy w wypowiedzi redakcyjnej — najogólniej informujemy, że intencją naszą jest zwiększenie wachlarza tematów, jak również ilości współpracowników, co chyba będzie czynnikiem sprzyjającym szerszemu „otwarciu” dodatku dla ciekawych zjawisk i inicjatyw z dziedziny kultury naszego terenu”. Z zaproszenia do dyskusji o tych sprawach skorzystał pierwszy Józef Wiesław Zięba, który zatytułował swoją wypowiedź „Uwagi scepetyka”. Niezależnie od zastrzeżeń i wątpliwości Zięba wyobraża sobie „Kulturę i Życie” jako „cztery strony pisma, w którym ścierają się poglądy młodych ludzi, kształtuje się rzeczywistość i prawdziwą opinię na temat miejscowego środowiska twórczego i to bez prowincjonalnego kadzidla (...), ale w sprawiedliwej proporcji do miary ogólnopolskiej. Wszystko to w żywym układzie, z dużą ilością światła i dobrej grafiki miejscowych młodych pla-

styków, ba, nawet raz w roku Redakcja „wychodząca ze skóry” zdobywa się na rzecz niestychaną — papier, na którym można reprodukcje zarówno najcenniejsze dzieła sztuki plastyki, jak i fotografii”.

Jest to więc całkowite zaprzeczenie rzeczywistości dotychczas istniejącej i — prawie program nowego pisma. Zobaczymy, co z tych dyskusji wyniknie. Przynajmniej wiadać, że na tej „wstępującej” literaturze i atmosferze kulturalnej zaczyna komuś zależeć. Korespondent tej sprawy z wywiadem, jakiego kierownik Wydziału Kultury WRN, mgr Zbigniew Frac udzielił H. Chabrowskiej dla „KURIERA LUBELSKIEGO”. Zapytany o główne problemy sytuacji kulturalnej województwa powiedział:

„Sprawą najistotniejszą, niejako zasadniczą, jest permanentne szukanie rezerwy dla resortu kultury. Co to są te rezerwy? Przede wszystkim ludzie — pełne wykorzystanie kapitału ludzkiego, jego zaangażowania i serca. Kapitalnym problemem jest właśnie to serce pracowników resortu kultury i to nie tylko pracowników etatowych, ale całej armii działaczy w zakładach pracy, we wsiach, stanowią oni bowiem cenny sojuszników”.

A wracając do klubów literackich to należy z satysfakcją odnotować, że zaczynają one być istotnym załącznikiem środowiska literackiego, by tylko wymienić pełen rozmach klub kielecki, któremu patronuje Waldemar Babinić, klub rzeszowski czy radomska grupa twórcza „Konfrontacje”, o których działalności pisało niedawno „SŁOWO LUDU”.

„WIDNOKRAG” (dodatek do „Nowin Rzeszowskich”) przedstawia obszernie laureatów tegorocznych nagród WRN w Rzeszowie. Pośród nich znajduje się także zespół „Widnokregu”, który sobie na to wyróżnienie dobrze zasłużył. Zacytujmy uzasadnienie tego wyróżnienia we wniosku odpowiedniej komisji:

„W okresie 5 lat swojego istnienia „Widnokrag” — jedyny tygodnik kulturalny w woj. rzeszowskim podejmował ważne problemy życia kulturalnego, społecznego i politycznego nie tylko Rzeszowszczyzny, ale i kraju.

Do ważniejszych akcji prowadzonych przez zespół redakcyjny należy cykl publikacji o rozwoju środowiska artystycznego i naukowego w Rzeszowie — popularyzacja działalności oraz inicjatywy w zakresie niemal wszystkich dziedzin życia kulturalnego, publicystyka na tematach nurtujących szkolnictwo wszystkich stopni oraz zainicjowanie dyskusji z zakresu stosunków międzyludzkich...”

„Widnokrag” udostępnił łamy pisarzem, poetom i pracownikom naukowym, zabiegał o skupienie współpracowników społecznych, wśród których są także ludzie z innych regionów...”

T. K.

WGASZCZU zagadnień kulturalnych, jakże często kontrowersyjnych, trafiają się sprawy nie wywołujące większych sporów. Do takich należą w obecnej chwili kultura filmowa — jej upowszechnianie, temat obrad niedawnej sesji Klubu Krytyki Filmowej przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Obrady odbyły się w Lublinie łącznie z obchodami piętnastoletnia dwóch sympatycznych placówek: Wojewódzkiego Zarządu Kin i Centrali Wynajmu Filmów, na których czcili zasługami działacze, wykwalifikowani fachowcy, respective — dyr. Rościński Krzyżanowski i dyr. Zbigniew Stępiak.

Temat okazał się prawie bezkonfliktowy, nie żeby analizy stanu posiadania dokonywano pod kątem

mowej; województwo lubelskie przystąpiło do organizacji kin studyjnych i dni studyjnych na większą skalę. Dobroczynny wpływ tych dwu innowacji na rolę kina jako środka masowego przekazu wartości ideowych i artystycznych wynika z odpowiedniego doboru repertuaru, uprzestępnianego niewyrobionemu widzowi za pomocą krótkich prelekcji (przeważnie z taśmy magnetofonowej) przed każdym seansem. Selekcją pozycji repertuarowych dla kin studyjnych zajmuje się Rada Artystyczna przy Kinie Studyjnym UMCS „Chaika Zaka”. Jest to grono składające się z działaczy społecznych, politycznych, twórców, pedagogów, dziennikarzy. Od września weźmie Rada na swoją odpowiedzialność również planowanie repertuaru dla wszystkich dni studyjnych w województwie

myślenia państwowego i społecznego. Ważę owego świątecznego podarunku przybycie wiceministra Kultury i Sztuki Tadeusza Zaorskiego, dyrektora Naczelnego Zarządu Kinematografii Jana Z. Pastuski, a także, m. in. krytykami — członka Komisji Kultury KC PZPR, redaktora Ryszarda Konieczka.

Po tej zwyczajnej i szczerzej spożyciu dnia dzisiejszego trzeba jednak przejść do niedoborów.

Jak wynika z wstępu opracowanego sprawozdania WZK w Lublinie, za okres 1961—1965, utworzona w ciągu 15 lat sieć kin wiejskich jest niedostatecznie równomierna. Są powiaty (Luków, Opole Lubelskie, Radzyń) o zbyt małej ich liczbie. Po prostu rozmieszczenie kin na wsi było uzależnione od istnienia sal nadających się do przystosowania.

tym dziwnego: rady narodowe mają swoją hierarchię potrzeb. Efektowna dyskusja nad tą hierarchią winna się toczyć przede wszystkim w łonie samych rad, sądzę jednak, że nie będzie zuchwaństwem ze strony laika, jeśli wysunie postulat, by dochody ponadplanowe, uzyskane bądź co bądź dzięki dobrej gospodarce WZK i CWF, nie były odprowadzane do ogólnego budżetu PWRN, lecz przeznaczane na uzasadnione potrzeby przedsiębiorstwa.

Od paru lat telewizja stała się w sferach teatralnych i filmowych istotnym postrachem. Czy aby nie historycznie to odrobina lekko? Istotnie dostrzega się obecnie równoległe z jej rozwojem pewien spadek frekwencji w teatrach i kinach, ale tak naprawdę daje się on we znaki w mieście. I w ogóle objaw ten wygląda mi na złą passę, przypominającą znane z dziejów kryzysy, jakie towarzyszyły różnym wynalazkom. Zbyt pesymistyczne byłoby chyba przypuszczenie, iż mały ekranik zastąpi na zawsze żywy plan teatralny i wielki ekran oferujący niezmiernie efektowniejsze i pełniejsze widowisko.

Dó wsi telewizja przychodzi częściej niż na „puste miejsce”. Jeśli luka w dziedzinie rozrywk kulturalnych zostanie wypełniona przez kino, jeżeli kino będzie lokalem przyjemnym, którego estetyka oddziaływałaby na ludność wiejską podobnie jak oddziaływała wiekami estetyka kościoła, najbogatszego budynku wiejskiego, — stanie się takie kino miejscem spotkań towarzyskich, a wówczas dobrze przemyślany repertuar zrobi swoje, czyli że „kultura filmowa”, w szerokim sensie definicji, nabierze życiowych treści.

Zdaje się, po tej linii właśnie zdążają zamierzenia Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, gdy widzi w pracownikach kinematografii aktywistów działających pod hasłem „kino ośrodkiem pracy kulturalno-oświatowej”, na modłę, również lubelskiego, eksperymentu sprzed kilku lat zastosowanego do szkół wiejskich i małomiasteczkowych. Bez wątplenia ta nowa inicjatywa przyjdzie skutecznie w sukurs i szkołom, i klubom „Ruchu” czy „Rolnika”, i domom kultury.

Uczestnicy sesji Klubu Krytyki Filmowej ciągle tu wspomnianej stwierdzali raz po raz w czasie obrad, że województwo lubelskie zdolało zająć w dziedzinie upowszechniania kultury filmowej jedno z miejsc czołowych. Niestety, nie sposób poświęcić kilku kolumn pisma omówieniu wszystkich pożytecznych pomysłów i akcji WZK, CWF, Wydziału Kultury i czynników społecznych. Poprzestając tedy na zamarkowaniu zaledwie paru najważniejszych, pragnę zakończyć niniejszą relację zdaniem, że pokazany w trzecim dniu obchodów film Stanisława Różewicza „Piekło i niebo” (uroczysta prapremiera ogólnopolska) jest doskonałym, godnym naśladowania wzorem inteligentnej pozycji relaksowej.

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Kryształ

Alejami parku spacerują smutne anioły o skrzydłach pachnących naftaliną

wiatr dozorca gniewnie zmiata żółte liście

zabijam samotność ogniem płonącym w kryształowym klejliżku

Jest on jedyną rzeczą z kryształu która została mi w życiu po stłuczeniu się złudzeń

Krańców

KINO WIELKĄ SZANSĄ KULTURY MASOWEJ

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

I proszę — co z tego wynika? Ponieważ kina półstałe mogą obsługiwać systematycznie co najmniej pięć sąsiednich miejscowości, tedy WZK, dążąc do lepszego obsłużenia powiatu, przekształcał tam, gdzie istniały odpowiednie warunki, kina stałe w kina półstałe.

Oczywiście jest to półśrodek. Upowszechnienie kultury filmowej nie stanie się jej upowszechnieniem, dopóki nie zagęści się sieć kin terenowych tak dalece, by dla mieszkańca wsi półście do kina nie było aż wyprawą.

A więc właściwie nie ma tu o czym dyskutować z pozycji krytyka. WZK wykazuje dowodnie w przejrzystych tabelach, najpilniejsze swe potrzeby, starając się wytarzać z budżetów rad narodowych jak najwięcej milionów na budowę, modernizację, remonty, wyposażenie itd, itp. Ale oto jak wygląda w liczbach rezultat żmudnych zachodów. Weźmy dla przykładu rok 1965. Zarząd Kin zgłosił w rubryce „inwestycje budowlane” zapotrzebowanie na 4 685 000 zł, przydzielony zaś limit wynosi 120 000; w rubryce „zakupy inwestycyjne” podano liczbę 2 500 000 zł, uwzględniono sumę 1 822 000. Nic w

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

MARIAN NARCYZ LISTOWSKI

Kubeczek

W Cmielowie są czarodzieje, którzy z ciasta robią śliczne cacka. Porwałbym jeden kubeczek znienaeka, który wprost do mnie się śmieje, miałbym w domu pamiątkę z wycieczki. Kubeczek absolutnie zaczarowany, amulet na zgrzyoty i rany.

I gdy piszę wiersze piłbym nim kawę, nawet likier, gdy będą twoje imieniny. I wierzę, że wiersze byłyby ciekawe, a ja sam byłbym może nawet inny.

Świdnik

JADWIGA MROCZEK

Poszukiwanie

Przecież na całej ziemi musi być ktoś ukryty jak ja w przyzwolcie gładkich ścianach zaplany w labirynth myśli zalekniiony samotnością bez dna jak moja

Przecież musi być ktoś zawieszony między płaszczyznami rozrywany wiatrakami popychany prądem powietrza

Idę drogą zaglądam nieśmiało w oczy uapotkanym przechodniom

Częstochowa

Z tych komplikacji województwo lubelskie wychodzi stosunkowo obrotą ręką dzięki obrotnej gospodarce, której towarzyszą coraz to nowe inicjatywy kulturalne instytucji i społeczeństwa.

Otóż wiadomo, że pierwszymi ogniskami tzw. „kultury filmowej” były tutaj, jak zresztą i gdzie indziej, dyskusyjne kluby filmowe. Gdy jednak życie wykazało, iż placówki te nie mają warunków do pracy „u podstaw” i ostania się już raczej jako zgrupowania wytrawnych miłośników filmu, dostrzeżono w Lublinie potrzebę szerszego, programowego działania jakiejś organizacji obejmującej całość kształt akcji na rzecz całego województwa.

Te potrzeby zaspokaja powstała przed czterema laty przy Zarządzie Wojewódzkim Towarzystwa Wiedzy Powszechnej Sekcja Filmowa, przekształcona ostatnio w Wojewódzką Sekcję Upowszechniania Kultury Filmowej. Będąc reprezentacją władz wojewódzkich, kierownictwa przedsiębiorstw kinematograficznych, związkowych, prasy, radia Sekcja ma znaczne możliwości i aurytety. Stanowi ona jakby permanentny komitet do czuwania nad rozwojem kultury filmowej, do programowania akcji i okolicznościowych. Analogiczne sekcje powstają już „na szczeblu” powiatowym.

Tego typu sekcjami filmowymi Lubelszczyzna może się poszczycić jako swym wynalazkiem organizacyjnym.

A oto druga świeża inicjatywa, której znaczenie szczególnie podkreślił kierownik Wydziału Kultury PWRN, mgr Zbigniew Frąć. Podczas obrad Klubu Krytyki Fil-

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

W ten sposób „trudniejsze” filmy (pojęcie nader pojemne!) będą stopniowo przenikały głębiej w różne warstwy społeczeństwa. Należy przy tym mieć nadzieję, że tak kompetentna rada, której nie brak pedagogów, nie ulegnie tendencjom demagogicznym — grzesząc niecierpliwym wyprzedzaniem możliwości percepcyjnych danego adresata.

Czy trzeba mówić, że główne natarcie kultury filmowej jest obecnie skierowane na wieś?

Przed wojną Lubelszczyzna liczyła zaledwie 39 kin stałych i 3 ruchome. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie się „poruszali” te trzy kina, ale z referatu na sesji dowiedzieliśmy się, że sporo miast, nawet powiatowych, nie miało stałych kinematografów. Stąd logiczny wniosek, iż o wsi pod tym kątem chyba wcale nie myślano. Obecnie my, uczestnicy Sesji Wyjazdowej Klubu Krytyki Filmowej, byliśmy też wzruszonymi uczestnikami uroczystości otwarcia 250 kina wiejskiego na Ziemi Lubelskiej, w Markuszowie, w powiecie puławskim. Cóż za kontrast! Na pewno nie da się go złożyć na karb czasu. Zdziały tu nowe kategorie

Bolesław Błażejczyk jest niewidomy. Urodził się w 1934 roku, we wsi Woła Okrzejska, pow. Łuków, woj. lubelskie. Pracuje w Spółdzielni Inwalidów Niewidomych w Lublinie.

Zadebiutował wierszami w roku 1958, w czasopiśmie dla niewidomych. Następnie drukował swoje wiersze w dwutygodniku „Kamena”, „Sztandarze Ludu” i innych. Brał udział w licznych konkursach literackich, recytatorskich, a także miał wieczory autorskie.

Pewność

Dzień obca rzuci kwiaty
Na słowa, których dzisiaj
Nie chcą poznać swoi.

Ktoś znajdzie mnie oczami
Wśród zapisanych kartek
By łowić sens mych westchnień
Utrwalonych przez palce.

Zrozumie wizję świata
Badanego dotykiem
Rak, które próżno błęga
Szukając cieniów szczęścia.

Do...

Tyle przeżyć pachnie Twym domem
Tyle wspomnień, daremnych westchnień
Niepotrzebnych nigdy, nikomu
Wiecznych tęsknot, nieznanych cierpień

Pomyśl tylko, — kartka papieru
Mą znajomość z tobą przedłuża
Chociaż dzisiaj Brajla litery
Niosą obcość blahych wynurzeń.

Ty ozdoba jesteś dla oczu
Tłumu mężczyzn bogatych,
Pięknych,
Ja z trudnością życie swe toczę
Niby kulę pełną rys, pęknięć.

Nieznana fotografia Sienkiewicza

KAZIMIERZ JANCZYKOWSKI

W dniach 1 i 2 października w Lukowie i Woli Okrzejskiej odbyły się uroczystości, związane ze 120 rocznicą urodzin i 50 rocznicą śmierci Henryka Sienkiewicza. W pierwszym dniu odbyła się w Lukowie sesja naukowa, zorganizowana przez Katedrę Historii Literatury Polskiej i UMCS w Lublinie, zakończona ożywioną dyskusją. W drugim dniu w Woli Okrzejskiej złożono wieńce na grobie matki pisarza oraz na kopcu ku czci Sienkiewicza, po czym otwarto Muzeum Sienkiewiczowskie.

PODCZAS okupacji niemieckiej zbiory muzeum w Chełmie zostały prawie doszczętnie zrabowane lub zniszczone. Po wyzwoleniu trzeba więc było zorganizować wszystko od początku. Zdawało mi się, że najbardziej celowe i owocne okazały się poszukiwania w okolicach Wojsławic, na terenie dawnej posiadłości hrabiów Poletyłów. Wszak senator Alojzy Poletyło prowadził dość zażyłą znajomość ze Stanisławem Augustem; Wojciech Poletyło był ostatnim kasztelanem zamku chełmskiego, w pałacu wojsławickim gościł Fryderyk Szopen, który zajął się z powiatu hrubieszowskiego; tu w czasie powstania styczniowego zginął od kuli karabinowej Wojciechowski.

Potem nadeszły czasy Leopolda Poletyły, aż wreszcie zasiadł w fotelu dziełców ostatni pan na Wojsławicach — Franciszek, który zeszedł z tego świata bezpotomnie, a po nim „państwo” wojsławickie przestało istnieć; została tylko mapa i długi.

Nie omyliłem się, ponieważ w miasteczku i na przyległych tere-

nach było dużo ciekawego i wartościowego materiału, który rozszedł się „na pamiątkę” wśród administracji, służby, znajomych i krewnych. Odzyskanie cenniejszych zabytków zależało tylko od ilości posiadanej gotówki.

Wśród tych poszukiwań i badań poznałem długoletnią pracowniczkę i zaufaną rodzinę hrabiowskiej, panią Natorską. Zdobyłem od niej wiele rysunków osób przyjmowanych gościnnie przez Poletyłów. Jakież było moje radośne zdziwienie gdy z pliku fotografii i portretików „od ręki” wysunął się fotograficzny wizerunek Henryka Sienkiewicza. Było to w roku 1958.

Pani Natorska przypomniała sobie wówczas, że posiada inną fotografię, przedstawiającą Sienkiewicza, który w myśliwskim stroju stał na śniegu obok ubitego przez siebie odyńca, jedną ręką wsparty o dubeltówkę; w pobliżu uśmiechał się Witold Poletyło.

Pani Natorska chyba z pół dnia szukała tej fotografii, lecz na próżno. Umówiliśmy się, że będzie poszukiwała dalej, aż do skutku. Niestety, do dziś jej nie odnalazła.

Sądzę, że szczegół wojsławicki z życia młodego Sienkiewicza — chyba nieznany — wart jest przypomnienia.

W latach studenckich i wcześniej Sienkiewicz parokrotnie odwiedzał Poletyłów. Przyjaźnił się wówczas z Witoldem Poletyłą, rówieśnikiem, z którym poznał się prawdopodobnie w Warszawie, a może w Krakowie. Witold często zapraszał swojego przyjaciela do Wojsławic na polowania, którego wielkim amatorem okazał się młody Henryk. Przyjaźń Witolda i Henryka nie trwała jed-



nak długo, albowiem wkrótce przyjaciele rozeszli się w Krakowie na dworcu kolejowym podczas niepowodzonej, młodzieńczej sprzeczki. Sienkiewicz po tej przygodzie wyjechał do Rzymu, a Poletyło powrócił do Wojsławic. (Dowiedziałem się o tym również od pani Natorskiej).

Zdobyta fotografia młodego Sienkiewicza intrzygowała mnie jednak dalej. Zacząłem przeglądać roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”, i oto w roczniku 1924 w nr 43 z 25 października znalazłem poszukiwany materiał. Cały „Tygodnik” był poświęcony literackiej działalności Sienkiewicza. Na str. 699 znajdowało się tableau, a na nim 9 fotografii z różnych okresów życia pisarza; począwszy od roku 1893 aż do chwili otrzymania nagrody Nobla i jubileuszu 25-lecia pracy powieściopisarza

(1900 r.). Trzeba przypomnieć, że właśnie w 1924 r. została sprawozdana ze Szwejcaria trumna ze zwojami pisarza i złożona w podziemiach katedry św. Jana w Warszawie.

Podarowaną fotografię Sienkiewicza porównywałem bardzo skrupulatnie z tymi dziewięcioma reprodukcjami, zamieszczonymi w „Tygodniku”. Nie znalazłem jednak identycznej czy nawet podobnej. Stąd wniosek, że fotografia ta — być może — nie była znana szerszemu ogółowi, z wyjątkiem mieszkańców pałacu w Wojsławicach.

Oryginalną fotografię, ofiarowaną mi przez panią Natorską, przechowywuję w swoich zbiorach, do artykułu zaś sporządziłem reprodukcję.

RADOM W REMONCIE

(Dokończenie ze str. 1)

Jego mieszkanie należy do wyjątkowych. W barokowym lustrze przeglądają się stare obrazy i pozłoki fotografie, na ciężkich komodach stoją ciężkie zegary. Wysocki, starszy mężczyzna, związany od lat z życiem kulturalnym Radomia, mówi zwięźle, precyzyjnie, a widząc moje zainteresowanie obrazami wyjaśnia:

— Ten portret wykonał Kraszewski, nadworna malarz króla hawaryjskiego, a ta kopia „Madonny” Borenskiej Rafaela jest — nigdy pan nie zgadnie — pędzla Marii Wodziańskiej. Najdroższy uczeń Brandta, Zarebski, zmarły w 25 roku życia, zaraz po otrzymaniu złotego medalu na wystawie w Paryżu, namalował portret mężczyzny, który widzi pan po prawej stronie lustra.

Od kilkunastu minut rozmawiamy o malarstwie, wreszcie decyduje się skierować dyskusję na inny temat.
— Przed laty powstał w Radomiu, dzięki pani inicyjatywie i pomocy warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich, Klub Literacki, o którym mniej się dziś słyszy.

— Tak, Pragnęłam wyłowić ze środowiska ciekawsze indywidualności intelektualne i dlatego też oparłem się na młodzieży. Klub organizował wiele imprez dla młodych w wykonaniu młodych. Sądzę, że jedna z nich, a mianowicie „Dzienniki mówione maturzystów”, zdała w pełni egzamin.

— Czytałem o tym w ubiegłym roku w „Tygodniku Kulturalnym”...
— Zna pan zapewne nazwiska: Romana Łoża z warszawskiego IBL, Alicji Helman, której problemowe artykuły o sztuce filmowej publikuje często „Kultura”, Olga Lota, która zawiązała z teatrem „13 Rzędów”. Wszyscy oni byli kiedyś członkami Klubu.

— Jestem w Radomiu od niedawna, i nie pierwsze kontakty z ludźmi i obserwacja niekórych instytucji kulturalnych dała mi obraz niezbyt optymistyczny. Może się mylę, nie patrz?

— Proszę pana, nasze miasto ma charakter wybitnie przemysłowy, a więc sprawy kultury należą do drugorzędnych — przyrzeka gospodarz. — Poza tym brak odpowiednich ludzi, mało inteligentnej humanistyce, a na dodatek władze kulturalne nie konfrontują swojej opinii ze zdaniem innych. A sprawa ambicji? Kiedyś coś nie zda egzaminu, to właśnie ambicja nie pozwala zlikwidować „dinerasu”. Na przykład — orkiestra „symfoniczna”, która istnieje tylko ze względu na prestiż i sprawozdawczych, jej możliwości konczą się mazurem z „Halki”. Dla wielu członków orkiestry praca w zespole jest zajęciem uboższym, żyją przecież z muzykowania w kawiarniach, a dyrygent dojeżdża z Olsztyna.

Słucham i zastanawiam się, ile w tych słowach obiektywizmu, a ile osobistych sądów, skrywytonych,

być może, takim czy innym stosunkiem do konkretnego człowieka: działacza, kierownika, prezesa. Ważne orientacje w zagadnieniach, wynikających z wioletoleń w środowisku, kulturę i całą wszechstronną aktywność Szymkiewicz-Gombrowicza, która nie ogranicza się wyłącznie do recenzji teatralnych i publicystyki, ale obejmuje także badania naukowe. Oto mam zdecydowane, jednoznacznie negatywne stanowisko.

— Jestem w opozycji, jeśli chodzi o program i styl kierowania kulturą radomską — wtrąca gospodarz. — I nie ukrywam tego. Czyta pan zapewne „Słowo Ludu”?

Tak, i przypominam sobie artykuł „Historia się powtarza”, zamieszczony w „Magazynie” kieleckiego dziennika, w którym Szymkiewicz-Gombrowicz pisał m. in.:

„W lokalnej polityce kulturalnej pojele ilości górnie nad pojęciem jakości, słyszyny nie raz kłepkie koncerty czy wokalne popisy, prelegatów, którzy z widoczną trudnością wyrażają nieudolną myśl. Idzie raczej o sprawozdawczość liczbowa, o zaimponowanie ilością imprez, a nie ich wartości. Nie dziwnego więc, że imprezy artystyczne nie wzbudzają echa, nie wywołują komentarzy krytycznych. W ciągu dwudziestu prawie lat istnienia Teatru im. Zeromskiego w roczniku terenowej prasy znajdziemy bardzo niewiele omówień jego działalności poza recenzjami J. P. Gawlika w „Magazynie” i moimi w „Życiu” (Radomskim — przyp. aut.).”

Końcowe minuty rozmowy dotyczyły teatru. Dowiedziałem się, że zespół jest słaby, gra w wypożyczanej sali, ponieważ w ubiegłym roku zamknięta stała sala teatralna — dzierzawiona od Związku Zawodowego Kolejarczy.

— Może pan zresztą to wszystko sam zobaczyć — powiedział na pożegnanie gospodarz.

Nazajutrz odnalazłem Plac Zwycięstwa, przy którym stoi wysoki budynek z napisem „Teatr im. Zeromskiego”. W gablotach plakaty aktualnie wystawianej „Barbary Radziwiłłówny” Feliksa, fotosy i informacja, że przedstawienia odbywają się w sali koncertowej Prezydium MRN. Na wszelki wypadek pchnąłem odrapane drzwi — oczywiście zamknięte.

Do sali koncertowej — jak wszędzie w Radomiu — blisko. Na parterze ogromnego gmachu — siedzi widać powiatu i miasta — znajduje się właśnie ta sala, może nie tyle koncertowa, co pałacowa. Schody niczym watakasie sciała rega prowadzi do hallu i foyer na piętro. Naokoło lustra, kilkadziesiąt metrów kwadratowych mozaiki i dwa gobeliny Jolanty Owidziej, z pochodzenia radomianki. Całość, jak dowiedziałem się później, kosztowała 2 mln zł.

Na scenie robotnicy majstrowali przy kurtynie. Powiedział, że: zaplecie za male, sala niezła, ok. 500 miejsc, a zamknięty teatr w gmachu ZZZK nie jest jeszcze remontowany.

— Jak długo potrwa remont, jeżeli go wreszcie zacząć?

— Może 4, może 5 lat, kto to wie!

— Podchodzę do kasy.

— Są jeszcze bilety na „Barbarę Radziwiłłównę”?

— Tak, ale na jutro.

— Na dziś wylupione?

— Nie, ale sala zajęta na zjazd „Kopniczanek”.

— Przecież na afiszu podaje się wyraźnie, że przedstawienia odbywają się w piątki, soboty i niedziele!

— Sala jest własnością wydziału budżetowo-gospodarczego Prezydium MRN.

— Jeszcze chwileczkę: czy zawsze macie taką frekwencję?

— Pani w oienku uśmiecha się z zaleźnowaniem i przecząco kręci głową. — Bardzo, bardzo rzadko — wyjaśnia. — Tylko takie sztuki mają powojenne, na inne przychodzi czasami kilkadziesiąt osób.

Do spotkania z mgr T. Kwiatkowskim mam jeszcze trochę czasu, choć widać, że ulicami miasta. Na każdym niemal kroku spotykam sklepy obuwiczne, widoczny znak „Radokoru”. Z grupy drzew wokół kościoła dobiega przeraźliwy świergot ptaków, które od lat nie pozwalają spać okolicznym mieszkańcom i robią co mogą, aby ludzie nie przechodzili pod drzewami.

Omijam więc ostrożnie piaszki i schodzę w ulicę Nowotki, gdzie stoi budynek muzeum. Afisz informuje o wystawie „Kultura regionu radomskiego”, otwartej z okazji „Dnia Radomia”.

Ciekawe ekspozyty — wazy, rądzia, ale, długie siedl — powodują refleksje wokół sposobu przechodzenia przedmiotu użytkowego w zakres sztuki. Bo to wszystkie przedmioty codziennej pracy są już — po utracie pierwotnej funkcji — dziełem sztuki.

Po dziełach orientuje się, że oprócz mnie i salowego nie ma tu nikogo.

— Mało chętnych? — pytam.

— W taki dzień to normalne, ale w niedziele bywa i ze setka.

— Nie macie w muzeum innych ekspozycji?

— Mam, ale sale w remoncie.

Teatr w remoncie, muzeum w remoncie. W godzinę później stwierdzim: kino „Hel” w remoncie, cztery biblioteki miejskiej w remoncie, kawiarnie

„Teatralna” i „Romantyczna” w remoncie.

Na szczęście, archiwum było po remoncie. Mogłem więc jeszcze zobaczyć wystawę „Przeobrażenia społeczno-gospodarcze w regionie radomskim na przykładzie 1900-lecia Państwa Polskiego”. Dobrych gospodarzy ostatnich lat pokazy i niewątpliwie, informacja o tym zajęciu, wykresy, wskaźniki procentowe. Natomiast o inwestycjach kulturalnych i oświatowych mówią tylko trzy zdjęcia: sali koncertowej i dwóch szkół.

Pół godziny później mgr T. Kwiatkowski, kierownik Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego, potwierdza moje spostrzeżenia.

— Rzeczywiście, inwestycje kulturalne to nasz słaby punkt. W minionej pięcioletce oddaliśmy do użytku tylko salę koncertową, a w obecnej przewiduje się zakończenie budowy kina w dzielnicy Gliniec.

— O ile wiem, budowa tego kina zaczęła się w czwartym kwartale 1968 r., przerwana została w r. 1963 i dopiero po licznych interwencjach mieszkańców robotniczej dzielnicy prace są kontynuowane. Wiadomo przy tym, że w tej części miasta, zamieszkałej przez ok. 40 tys. ludzi, nie ma poważniejszego obiektu kulturalnego. Jak więc można było dopuścić do takiego opóźnienia?

— Magister Kwiatkowski uśmiecha się i rozkłada ręce.
— Inwestorem jest Wojewódzki Zarząd Kina w Kielcach...

— No tak... A remont kina „Hel”, rozpoczęty we wrześniu 1961 r.?

— Podobnie.

— A Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, który na pewno jest potrzebny?

— To dłuższa historia. Centrala warszawska MPK może tylko klub wypożyczyć, nie może natomiast udostępnić środków koniecznych do przeprowadzenia adaptacji pomieszczeń w wybranym przez nas budynku usługowo-mieszkalnym. Koncepcja finansowania adaptacji z budżetu Prezydium MRN w Radomiu, wysunięta przez nas i zaakceptowana przez Wojewódzki Zarząd Inwestycji Miejskich w Kielcach, została niedawno obalona przez ten sam WZIM. W ten sposób wobec braku 150000 zł, istnieje konieczność zmiany inwestora, a więc i przeznaczenia budynku.

— A może, pomimo wszystko, roznieście zgody się usprawiedliwił? Macie przecież najwęższy w Polsce wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę — 1,3 osoby...

— Powiedzący. Tylko, że na klub w Kielcach znalazły się pieniądze.

Dziękuję, wychodzę. Na korytarzu podkreślam w zeszycie cztery słowa: ilość, remonty, inwestycje, Kielec.

Dotychczasowe spostrzeżenia i rozmowy trzeba oprzeć na bardziej konkretnych danych. Kierowniczka Miejskiego Inspektoratu Statystycznego w Radomiu, Leokadia Majewska, rozkłada tablele, kartkuje rocznik statystyczny.

— Radom liczy 115023 mieszkańców, w tym 33000 młodzieży do lat 17. Mamy 29 szkół podstawowych, 6 liceów ogólnokształcących, 3 techników i 13 szkół zawodowych ponadto w 22 szkołach dla pracujących kształcą się 22

tys. osób. Pod koniec 1963 r. w przemyśle pracowało 22173, a w kulturze i oświacie 2307 osób.

Notuję, a na koniec pytam o to samo, o co dotyczył wszystkie pytania.

— Ma pan słuszność, w Radomiu, w mieście 150-tysięcznym, mamy stanzowo za mało rozrywek kulturalnych.

— W mieście robotniczym i młodzieżowym — dodaje w myśl.

Magister ekonomii, doktor geografii, pracownik wydziału architektury i prezes Radomskiego Towarzystwa Naukowego — Stefan Witkowski, którego znalazłem piętro niżej, nie widzi szans na przeprowadzenie zasadniczej reformy w radomskiej kulturze.

— W mieście przemysłowym brakuje 2/3 kadry inżynierskiej. Zabrzmiał jak paradoks, ale jest faktem, że na 8 tys. osób zatrudnionych w przemyśle skózanym pracuje tylko i inżynier obywatel. Inżynierowie nie mają po prostu czasu na realizację zainteresowań pozazawodowych, bo, jak łatwo obliczyć, pracują za trzech. Poza tym nie ma w Radomiu wyższej uczelni, a więc środowiska inicjującego.

— A jednak Towarzystwo skupia ludzi aktywnych i ma na swym koncie wiele powonnych osiągnięć, że wymienię tylko regularne wydawanie biuletynu kwartalnego RTN i opracowanie „Przemysłu Radomia”, które ma się ukazać w Wydawnictwie Lubelskim. A działacie załatwie trzeci rok!

— Tak, lecz działamy dzięki silnej woli.

— Czyli nawet wbrew tzw. „trudnościom obiektywnym”, utozsamianym z brakiem środków inwestycyjnych, kultura w Radomiu mogłaby wyzładać lepiej i bogaciej. Słowem, dochodzimy znów do spraw o charakterze organizacyjnym?

Według informacji kierowniczki Wydziału Kultury Prezydium MRN w Radomiu, mgr M. Wiecińska, główną przeszkodą na drodze wszechstronnego rozwoju społecznych placówek kulturalnych są zbyt szczupłe dotacje finansowe. Tak więc: Radomska Orkiestra Symfoniczna otrzymuje rocznie 120 tys. zł, Radomskie Towarzystwo Naukowe 198 tys. zł, Klub Literacki 10 tys. zł, TPSP 60 tys. zł...

Brak budynków teatralnego i wywodzenie do Kielec rekwizytów i scenografii po każdej premierze, społeczny charakter orkiestry symfonicznej — także nie sprzyjają podnoszeniu poziomu artystycznego obu zespołów. „Niemięj będziemy dążyć do upaństwowienia orkiestry”.

Ireneusz J. Kamiński



Fot. Jan Magierski

WITOLD NANOWSKI

Staruszka

Zwiedla staruszka nosi w sobie jeszcze słodycz młodości, która przeszła tak prędko, tak nagle. Zamieniona na popiół, i węgiel, i gorzyc pomalu zwija życia postrzępiony żagiel.

I żyje wspomnieniami: miłości, jaśminów, jakichś słów, które dawno ktoś, kiedyś powiedział. Dni życia przesycone przemijaniem płyną od smutnych poniedziałków do pobożnych niedziel.

Ze słodyczą tych wspomnień, które pozostały nienaruszone czasem, wciąż młode, wciąż świeże — obnosi swe zniszczone, zdzieciniałe ciało, uśmiecha się z dobrocią i modli, i wierzy.

Wrocław

Niemiec na Majdanku

KURT BORCK

Pragnienie zobaczenia Majdanka powstało we mnie już dawno. Ale wciąż wahałem się, wciąż nie mogłem zdobyć się na decyzję wyjazdu. Pytałem sam siebie, jak będę przyjęty tutaj, w Polsce, 27 lat po brutalnej napaści faszystowskich Niemiec? Pewnego dnia jednak odrzuciłem wszystkie wątpliwości i wybrałem się w drogę. Zdając sobie sprawę, że będę na miejscu, które dla nas — Niemców — jest zawsze najsurowszym oskarżeniem.

ZBIJAJĄCYM sercem przemierzam ostatnie metry, dzielące mnie od baraków, wież strażniczych i kolczastych drutów. Idę pewny, że, niezależnie od tego, co zobaczę, wyjdę swobodny. A dla ilu tysięcy ludzi widok tych baraków, wież i drutów oznaczał pelen cierpienia koniec?

Przyjacielskie powitanie u wejścia przez przedstawicieli administracji obozu i muzeum pozwala mi przezwyciężyć uczucie, które jest jednocześnie lękiem, poczuciem współwiny i współczuciem. Po kilku minutach jednak to wszystko powraca. Przewodnik wyjaśnia mi, że to miejsce pomiędzy kilku barakami nazywało się bardzo niewinnie, a nawet zachęcająco — „Łaźnia — pomieszczenie dezynfekcyjne”. W żargonie więźniów nazywało się „różane pole”. A przecież to właśnie tutaj rozpoczynała się cierniowa droga ludzi, którzy znaleźli się w tym obozie.

Staję wstrząśnięty w komorze gazowej. Widzę puszki z napisem „Cyklon B”, słyszę liczyby, które mnie obezwładniają... Myślę o lu-

dziach, którzy jeszcze z odrobiną nadziei w sercu przekraczali progi tych pomieszczeń. O ludziach, których ciała wkrótce skręcały się w śmiertelnych mękach, których paznokcie bezsilnie wbijały się w podłogę i ściany, których płuca rozszalała straszliwa trucizna. Myślę i o tych, którzy beztrósko przyglądali się tym straszliwym scenom...

Chodzę od baraku do baraku, doznając coraz to nowych wstrząsów. Prostymi środkami osiągnięto to, że — jak mi się wydaje — zwiedzający odbywa taką samą drogę, jak niegdyś więźniowie, którzy tu ginęli. Jest, oczywiście, ogromna różnica między tym, co było kiedyś, a co jest dzisiaj. Czy te bestie, które kiedyś zaprojektowały i urządziły obóz, które w nim „pracowały”, można określić jako ludzi? Czy wystarczy słowo — zbrodniarze? Przecież oni z zimną krwią mordowali w wyrefinowany sposób ludzi, których jedyną winą było to, że byli Polakami, Rosjanami lub Żydami.

Jeż cierpień musieli znieść ci ludzie nawet wtedy, gdy jeszcze nie szli do komór gazowych czy krematorium! Oto barak, w którym

DZIWNĄ twarz miała to Lisette. Składała się jakby z dwóch zupełnie do siebie nie pasujących elementów: broda i szczeka były ostre, zdawać by się mogło, że należą do człowieka surowego, nawet złego. A policzki okrągłe, ogorzale, noszek zadarty, oczy piwne, wesole. Kasztanu ust nie pamiętam, tylko uśmiech promienny i taki szczęśliwy. Przyznać muszę, że ten jej uśmiech denerwował mnie bardzo. Lisette poznałem bowiem w Oświęcimiu w 1941 roku, najstraszniejszym, w którym albo nad obozem było zawsze czerwone, a powietrze zatykało smrodem palonych ciał.

Makabryczne było lato tego roku. Czasami odnosiłam wrażenie, że wszystko, co się wokół mnie dzieje jest wytworem chorej wyobraźni. Transporty szły dniami i nocą, w większości wprost do gazu. Młode, zdrowe kobiety, które oddzielono od skazanych na śmierć, zupełnie nagie, stłoczone na placu oddzielnym drutami, czekały na transporty bez jedzenia, wody, pod żarem lipcowego słońca.

Cały dzień w obozie ruch był niesamowity. Przyjeżdżały i odjeżdżały pociągi, Niemcy rycieli, gdy ktoś próbował pomieszać ustalony porządek, gdy nie dość sprawnie ustawiał się w kolejkę po śmierć, lub gdy kurczowo przytrzymywał jedyną walizkę, która mu pozostała z całego dobytku. A wszystko odbywało się w okropnym tempie, by nie dać ludziom ani chwili wytchnienia, by nie zostawić im czasu na żadną myśl, na żaden nieprzewidywany przez Niemców odruch. „Schneller, schneller” — krzyczyli esesmani i ludzie, uciekając przed białym i rewolwerem, dawali się wepchnąć w ustalony nurt.

Przy samym wejściu do łaźni stał lekarz obozowy, słynny Mengele, piękny, elegancki, z uśmiechem budzącym zaufanie. Niebałym ruchem ręki kierował ludźmi. Kobiety z dziećmi, starzy, słabi i chorzy — na jedną stronę rampy, młodzi i zdrowi — na drugą. Tu przed Mengele była już tylko cisza. Każdy szedł we wskazanym kierunku nie wiedząc, że już wydano nań wyrok śmierci. Piękło nie do ogarnięcia normalnym umysłem.

Lisette chodziła nudaś po obozie cicha, ze szczęśliwym uśmiechem na ustach, który mnie doprowadzał do pasji. Rozmawiałam często o Lisette, przede wszystkim z dziewczętami z Francji, które ją dobrze znały.

— Jak ona może się uśmiechać? — denerwowałam się.

— A ja ci powiem, dlaczego ona się uśmiecha — mówiła Masza. — Ona jest po prostu szczęśliwa.

— Jak to szczęśliwa? — krzyczałam — w Oświęcimiu szczęśliwa? Czyżby była ślepa i głucha na to, co się wokół niej dzieje?

— Nie przerywaj, to ci wszystko wytłumaczę — uspokajała mnie Masza. — Ona po prostu cieszy się, że razem z nią nie ma tu jej męża. Gdy ją aresztowano on zdolał uciec i jest na wolności. To wspaniały chłopak i Lisette kocha go bardzo. Zostawiła też na wolności u znajomych swoją córeczkę. I teraz ta właśnie myśl błąka się w jej głowie: jak to dobrze, że ich w tym piekle nie ma. Ze Mengele nie kieruje ich w jedną lub drugą stronę, że znajdują się poza zasięgiem działania morderców z Oświęcimia. Gdy o tym myśli szczęśliwy uśmiech zjawia się na jej ustach.

Zrozumiałam i odtąd, gdy widziałam ją uśmiechniętą mrugałam do niej porozumiewawczo. Już mnie jej uśmiech nie raził, pieściłam razem z nią jej radosną tajemnicę.

Pamiętam dokładnie ten letni dzień 1944 roku, gdy Lisette przestała się uśmiechać. Przyjechał transport więźniów z Francji i wśród nich mąż Lisette. Była to na razie wiadomość nie sprawdzona, oparta raczej na przypuszczeniach. Lisette jeszcze nie wierzyła, szukała potwierdzenia.

Niedługo czekała na bezpośrednią wiadomość. Więźniowie przywoźący białiznę do szpitala przynieśli od niego list... „A więc jestem razem z Tobą — pisał. Cieszyłbym się raczej z tego, gdyby nie komando, do którego mnie wybrano. Zaraz z transportu wyciągnięto mnie do komanda pracującego przy krematorium. Jeszcze nie wiem na czym będzie polegała moja praca, ale coś mi się zdaje, że długo tutaj nie wytrzymam”.

Lisette wieczorem przyniosła nam ten list do przeczytania. Szalała z rozpaczy. Jej ukochany znalazł się na samym dnie piekła. Komando pracujące w krematorium żyło tylko kilka miesięcy. Potem Niemcy likwidowali wszystkich i wybrali do komanda nowych ludzi. Chcieli w ten sposób pogrzebać wiadomości o dokonanych tu zbrodniach.

Odtąd co dzień przychodziły listy z krematorium. „Okropność — pisał Karol. — Dziś mężczyźni z komanda gotowali sobie zupę w garnku podpieranym piszczałkami z kończyn ludzkich. Śmieci się, gdy im zwróciłem uwagę”.

„Droga Lisette — pisał w dniu następnym. — Wyobraź sobie, że złoto, zrabowane ludziom idącym do gazu, członkowie komanda kupują wódkę, wędliny i najlepsze mięsiami. W przerwach między gazowaniem poszczególnych partii urządzają libacje. Chce mi się rygać, gdy na to patrzę. A oni się tylko śmieją ze mnie i mówią, że żywy trup nie powinien mieć skrupułów. Nie wytrzymam, nie dam rady. Co robisz?”

Czytaliśmy te okropne listy i starałyśmy się nie patrzeć na Lisette, która lapała nas za ręce i powtarzała wciąż to samo: „Radźmy coś, dziewczęta, coś przecież robić trzeba. Nie mogę tej jego prośby zostawić bez odpowiedzi. Co on powinien robić? Jak zachować się w

okresie tych kilku miesięcy, które jeszcze żyć będzie?”

Potem przyszedł list, w którym on sam zdecydował, co powinien zrobić. Postanowił popełnić samobójstwo. „Wybacz Lisette, nie mogę inaczej. Nie mogę patrzeć na skrecone w pośmiertnym bólu ciała, które wyciągamy z komór gazowych, na mękę małych dzieci i kobiet. Chcę umrzeć, nie chcę być świadkiem upodlenia, gdy syn wypycha swego ojca do komory gazowej, bo i taki wypadek zdarzył się w naszym komando”.

I wówczas decydujące słowa powiedziała organizacja antyfaszystowska w Oświęcimiu, której Lisette była członkiem i do której zwróciła się o pomoc. Niech Karol zorganizuje grupę strażników i niech wysadzą krematorium w powietrze. Organizacja pomogła.

Zbliżała się ostatnia jesień hitlerowskiego panowania. Wysładzenie krematorium, jednego z czterech dymiących dniami i nocą, nie może pozostać bez echa. Doda otuchy więźniom, a i poza obozem huk wylatującego w powietrze krematorium powie ludziom o naszej walce. Tak myślałyśmy my, ale co czuła Lisette? Dla niej, wiedziała o tym dobrze, walcę się krematorium głosić będzie podzwonne jej mężowi.

Lisette była bardzo spokojna, zdawać by się mogło, że jej twarz stała się kamienna. Nie mówiła z nami nic o krematorium. Raz tylko pokazała mi list Karola, w którym akceptował on projekt klerownictwa. „Tak! Jestem szczęśliwy, teraz wiem, po co żyję”. Moim zdaniem powinno być: „teraz wiem dlaczego umrę”, ale on właśnie tak napisał: „wiem, po co żyję”.

Pamiętam doskonale ten dzień, gdy krematorium rozsypano się w gruzy. Był październik, ciepły i słoneczny. Nie było złotej jesieni, bo w obozie brak było drzew. Zbliżała się pora apelu wieczornego, gdy nagle potężny huk wstrząsnął powietrzem. Wiedziałam, co on oznacza. Niemcy natychmiast ogłosili „block-sperre” — zakaz wychodzenia z bloków. Staliśmy przy uchylonej bramie i nadsłuchiwałyśmy. Z daleka dochodziły do nas ryki Niemców i strzały. Zdawało nam się, że słyszymy tupot uciekających nóg. A potem wyraźny, głośny śpiew Międzynarodówki, wielojęzyczny śpiew. To ginący pozdrawiali żyjących. Brzmiało to jak znane pozdrowienie gladiatorów rzymskich: „O Caesar, morituri te salutant” — umierający pozdrawiają cię. I znów strzały, jakieś okrzyki, a potem cisza dzwoniąca w uszach.

Zaczął się apel wieczorny. Jak zwykle komanda przechodziły przez bramę, jak zwykle orkiestra obozowa przygrywała zmordowanemu kobietom. Wszystkie miały głowy nisko schylone, by esesmani nie widzieli radosnego błysku w ich oczach. Otarłyśmy się wszystkie o bohaterką śmierci, jakże odmienną od tej, którą widzieliśmy codziennie.

Było już ciemno, gdy do ambulatorium wpadła Masza: „Doktora, prędzej doktora! Lisette przecięła sobie żyły”. Połeciałyśmy wszystkie. Była już obandażowana, leżała na koł, blada, z dawnym uśmiechem na ustach. „Nie ma go już w tym piekle. Odszedł” — szeptała raz po raz.

(Ze zbioru opowiadań o Oświęcimiu)

MAGDALENA SZYMAŃSKA

Pytania

Pytasz,
dlaczego nie mam telefonu...
— Chciałbyś pamiętać jeszcze ten numer, wykrećić go czasem i zakryć dłonią usta, poznać po kolorze głosu wyraz moich oczu.
Mógłbyś przestać tęsknić wieczorem i rozgrzewać wargami bakielittowe ucho albo błogosławić ciszę ostatni raz odłożonej słuchawki. Potem nie dowiedziałabyś się nigdy, że po drugiej stronie wtedy pękło na przykład szkiełko zegarka.

Pytasz,
dlaczego spóźniam się czasem...
Czekając, nie odpowiadasz na ukłony, sprawdzasz godzinę na kilku zegarach, oblecujesz zawroć i już nigdy nie uwierzyć w spóźniony tramwaj. Wmawiasz w siebie, że nie masz innego zajęcia, że spacer jest ci potrzebny. Wyznaczasz nieprawdopodobnie krótkie szlaki przechadzek, aby w czasie triumfalnego marszu zrestroli swój krok z moim zdziwieniem: przyszedłam wcześniej —

mam osiemnaście lat.
Bytom

Autor niniejszego szkicu jest dziennikarzem w „Ückermündzeitung” w NRD. (RED.)

CZŁOWIEK ODNALEZIONY

JERZY DOSTATNI

BARDZO mi przykro, towarzysze, ale musimy przesłać sprawę do kolegium. Gdy zapłaci tydzień złotych, to popamięta na wiele lat. A właściwie — upierał się oficer milicji — kto wie, czy nie powinniśmy go zaraz aresztować. Wczoraj pobli jednego, dzisiaj lub jutro może pobli następnego.

Z krzesła pod oknem ktoś odezwał się jęklivo:
— Taki wstyd, taki wstyd... Na całe miasto...

— Czy milicja sprawdziła — zapytał inny — co było powodem tej awantury? I dlaczego uderzył tamtego?

— My stwierdzamy tylko fakty — odpowiedział zimno oficer.
— Ustalenie przyczyn, okoliczności łagodzących lub obciążających należy do sądu lub kolegium.

— Niezupelnym jestem pewien, że tak być powinno — wtrącił się dyrektor Olejniczak. — Nawet w przepisach prawnych na ten sam temat jest zawsze kilka paragrafów. To znaczy, że istnieją różne możliwości oceny. Osobiście jestem zdania, że trzeba z nim pogadać...

Słuchałem tej relacji siedząc przy kawie w gabinecie dyrektora Podlaskich Zakładów Metalowych. Zaczęło się przed kilkoma minutami w długiej, niezbyt jasnej sali. Chyba niezgodnie z przepisami przeciskałem się pomiędzy wierzającymi maszynami, on stał przed jedną z obrabliarek i tuż przed moim nosem przeciął powietrze kawałem grubej blachy. Zanym zdążyłem coś powiedzieć szurnął nogami jak uczniak:

— Bardzo pana przepraszam, to moja wina, muszę bardziej uważać. Bardzo przepraszam...

Już chciałem rozpocząć dyskusję, że, po pierwsze, nie się nie stało, a po drugie, że to wyłącznie ja zawiniłem — gdy dyrektor zrobił do mnie najprawdziwsze oko, skłonił wymownie głową i szybko wyszedł na plac.

— Widzi pan, to nieco dłuższa historia — wyjaśnił. — Chodźmy do biura, tam porozmawiamy.

Przez okno widać całą fabrykę, jak na dłoni. Parterowe hale, jeszcze przed kilkoma laty zbyt obszerne, teraz nie mogą pomieścić wszystkiego, co jest w produkcji. Na placu z lewej strony coś jak kadłub samolotu, z prawej jakas w powietrze zamontowana maszyna, powyższym zestawem przypominająca niemal abstrakcyjną rzeźbę. Za halami daszki, pod którymi na stojakach leżą poukładane równo sztaby żelaza, arkusze blachy, kawały aluminium i różnych stopów — razem podobno 300 gatunków, na każdym z daleka widoczne znaki rozpoznawcze. Potem trochę kolyszącego się dojrzewającym żytem pola, pojedyncze domki i wreszcie zwarta zabudowa Białej Podlaskiej.

— Abstrakcyjna rzeźba? — oburza się dyrektor. — Tylko wy, humaniści, możecie dopatrzeć się cze-

goś takiego w metalu, którego ukształtowanie kosztowało nas tyle pracy i myśli technicznej. Ale mniejsza o to. Jeżeli chodzi o tego blondyna...

Tu jednak dyrektor nie wytrzymał i zaczął nie od blondyna, ale od tego, jak przed 8 laty przyszedł tu z nominacją w kieszeni. Fabryka miała być zlikwidowana, bo systematycznie przynosiła straty. Rzeczywiście wszyscy wykonywali tzw. usługi — tylko, że niemal każdy co najmniej połowę na własny rachunek. Przy maszynach pracował kto chciał — raz swój, raz obcy. Bez ćwiartki prawie niczego nie udawało się zatawić. We wrześniu plan roczny był wykonany zaledwie w połowie, o zyskach nikomu się w fabryce nie śniło. Wyszło robiono na oko, dokumentacji nie umiał czytać dostojnie nikt, może jedyny technik, który jeszcze nie zdążył odejść.

— Chyba pan przesadza, dyrektorze. Dzisiaj jesteście przecież wzorowym zakładem. Komitet Drobnej Wytwarzalności, któremu podlegacie, zleca wam bardzo trudne roboty — prototypy, urządzenia pomiarowe. Musiał pan wszystko przewrócić do góry nogami...

— A właśnie że nie — zaprzeczył energicznie. — Człowiek sam w sobie nie jest zły, ale zbyt często ulega wpływom — kolegów, okoliczności, atmosfery, w jakiej żyje i pracuje. Zaczęłem od zmiany atmosfery, a nie ludzi. Najpierw rozmowy z rodzinami — nie zawsze zresztą do skutku. Potem tylko najbardziej niepoprawnym dawałem zwolnienie z pracy. Ale tego samego dnia zwoływałem załogę i tych zwolnionych za pijaństwo czy łamanie dyscypliny stawiałem jakby przed sądem wszystkich. I czy pan uwierzy, że nawet najlepsi koledzy od kieliszka nie bronili kompanów, a po pewnym czasie sami ich atakowali? Zgadzałem się na cofnięcie zwolnienia pod warunkiem, że odpowiedzialność za poprawę weźmie na siebie cała załoga. Początkowo nie wierzyli, ale gdy dwóch naprawdę notorycznych pijańców zwolnilem, zapewniając jednocześnie przez komitet pracę zonom — uwierzyli. No i miałem coraz więcej sojuszników. A jeżeli chodzi o tego blondyna...

Gdy kwadrans później blondyn wszedł do gabinetu, wiedziałem już o nim wszystko. Albo prawie wszystko, chociaż z tym, że teraz kocha się w pewnej dziewczynie i że właśnie kupił motocykl, aby jeździć z nią na spacer. Po skończeniu szkoły podstawowej przez cztery lata nie robił. Uczył się dalej nie chciał, pracować też nie. Matka wciąż popłakiwała, ojciec po jakimś czasie rzucił w kącie pasek, zaczął się i nie rozmawiał z synem. Starszy brat, który od czasu do czasu przyjeżdżał z Lublina, też nie miał na niego żadnego wpływu.

— No i dlaczego zdecydował się pan wyjechać na Śląsk do kopalni? — pytam, gdy dyrektor wyszedł za-

porządku. — Wiesz pan, że to nie była moja wina, muszę bardziej uważać. Bardzo przepraszam...

łatwie jakąś rzekomo bardzo pilną sprawę.

— A bo tak długo można nie robić? — wzdrygnął ramionami.

— Po dwóch latach był pan już niemal wykwalifikowanym górnikiem. Mieszkanie w hotelu robotniczym było przyzwoite, chodząc pan dobrze ubrany, były pieniądze na mecze i kino. Więc dlaczego pan wrócił?

Odgarnął czuprynę i spojrzał na mnie podejrzliwie. Udawałem, że bardzo mnie interesuje zwykły przecięt zyrandol. Czy przełamie się, czy powie prawdę? Milczenie coraz boleśniej wkręcało się w uszy, aż wreszcie nabrał odwagi.

— Widzi pan, z początku było ciężko. W pracy. Ale jakoś przyzwyczaiłem się. Najgorzej, gdy miałem wolne. W hotelu tacy jak ja z całej Polski. Najpierw chodziliśmy w pojedynkę. Jedni myśleli tylko o robocie, drudzy o wesolym spędzeniu czasu. Ja szybko przeniosłem się do tych drugich. Nie było z kim pogadać, tak — wie pan — serdecznie. Nikt nie pomógł w kłopotach. Czasem były jakieś wykłady, ale za mądre dla mnie. Jeździliśmy więc do Rybnika, Zabrzeża, Katowic. Wyplata topniała szybko, potem znowu się pracowało, przepuszczano. To cholernie źle było samemu — wybuchł niespodziewanie.

— A wódka smakowała coraz lepiej?

— Eee, smakować to nigdy nie smakowała, ale piło się, bo inni też pili. I też się krzywiłi, ale taki fason. No i raz w jakiejś restauracji wybuchła awantura. Nawet nie wiem, o co. Uderzyłem kogoś, ktoś rozbił mi nos, potem wzywano milicję. Zdążyłem uciec. Nad ranem wyjechałem do Warszawy. Chciałem tam znaleźć pracę. Ale już na dworcu pomyślałem sobie, że znowu będę sam — więc wróciłem do Białej. No i zaraz dostałem pracę tutaj. Potem podobno było jakieś pismo ze Śląska. Brat był u dyrektora, podobno zapłacił coś za mnie, ale on sam nie chciał powiedzieć. Mówił tylko, że jeżeli jeszcze raz coś zrobisz, to mnie zbije i nie chce znać.

Znowu zaległo milczenie. On kreślił beret w umorusanych dloniach, ja wahałem się, czy wyciągać dalej nieprzyjemne sprawy. Wreszcie zapomniałem półgłosem:

— Czemu więc pan to zrobił?

— Przecież on uderzył mojego brata. Rozumie pan — mojego brata! My wypiliśmy tylko po piwie. To on był pijany i zaczął — mówił ze wzrastającą gwałtownością. — Przecież bratu zawdzięczam wszystko. A ja już nie chcę być takim, jak przedtem.

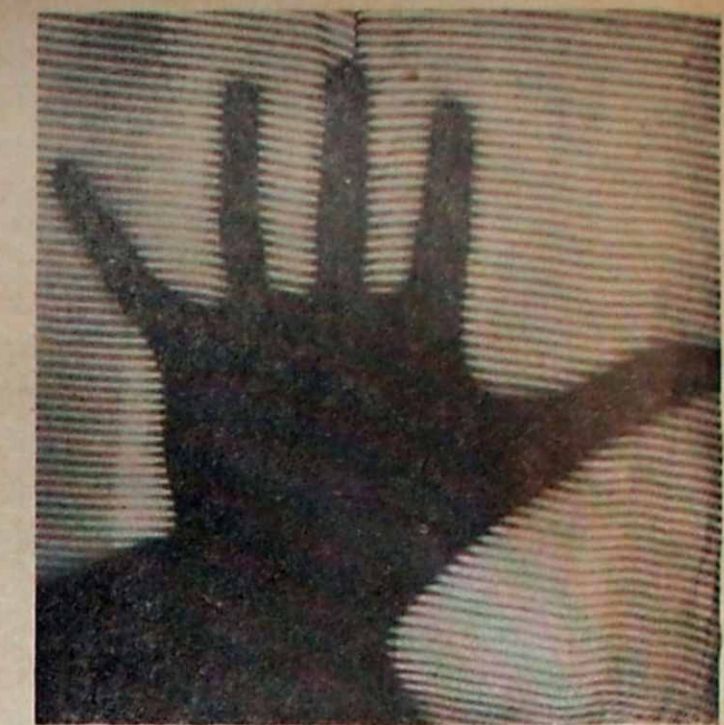
— Jednak pan uderzył...

— A pan by nie?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Zapewne podświadomie postawił pytanie, nad którym prawnicy mogliby się długo zastanawiać: odruch, obrona konieczna bilokij osoby, wobec której miał szczególne zobowiązanie niezależnie od braterskiej uczuci? Zle wyrażony protest? A może nawet do czasu, o których tylko później zapominał?

Nie dziwi się, że oficer milicji tak długo się wahał, nim przyjął propozycję dyrektora Olejniczaka. No bo na cóż zda się nawet dyrektorska gwarancja, jeżeli fakt uderzenia był niewątpliwie, poważniejsza awantura także? I jeżeli zaczęła się znowu? Słuska nie drżała, ostentacyjnie milicja jest aparatem represji. Chociaż tak po prawdzie...

— Tak po prawdzie to powinien stanąć przed kolegium — ciągnął opowiadanie dyrektor, gdy we dwójkę szliśmy w stronę szosy na Terespol. Za nami malała fabryka, hale stopiły się w niewyraźny prostokąt i tylko jeden czy dwa kominy świadczyły o jej istnieniu.



Fot. A. Polakowski

Od Białej pędziły dwa samochody z zagranicznymi znakami rejestracyjnymi. Mała, popularna we Francji Renówka wyglądała jak mucha z nieco podniesionym odwłokiem.

— Wie pan — zmienił nagle temat dyrektor — przyjechałem do Białej przed 40 laty jako młodzieńki absolwent poznańskiej Szkoły Budowy Maszyn. Do tutejszej wytwórni samolotów skierowano w ciągu kilku lat 40 młodych ludzi. Do wojny dotrwało nas dwóch. Ja to rozumiem: daleko od domu, od własnego środowiska, dobre zarobki, ale i konieczność wyteżonej pracy. Nie nadawał się, czy dwa razy coś przeskróbał — no to do widzenia! Pewnie, wtedy też byli chuligani, chociaż to się nazywało „złota młodzież”. Ale nikt się nimi nie zajmował. Kto zliczy, ilu zdolnych, czy nawet bardzo zdolnych ludzi zlamano sobie życie? Ilu potem wykołowało się w prywatnych warszatkach, zatapiając sprawunki dla pani majstrowej? Ja to dobrze pamiętam. Najtrudniejsze zadania produkcyjne można w ten czy w inny sposób wykonać. Ale jeszcze trudniejsze są sprawy ludzkie. Tego nie znajdzie pan ani w planach ani w sprawozdaniach, na to nie można dać funduszu plac, nie można tego umieścić w planie postępu technicznego. A jednak trzeba zrobić, bo inaczej, prędzej czy później, wszystko się przewróci.

Rzeczywiście — zamysliłem się. Ludzi, którzy tak postępują, mamy coraz więcej. Ale kiedy będą tak myśleli wszyscy dyrektorzy i kierownicy?

— No, a wracając do tego blondyna — podjął dyrektor. — Po rozmowie z milicją i radą zakładową wezwałem chłopca do siebie. Przyszedł nastroszony, spodziewając się najgorszego. Zanym wysłuchał ostatego, ale krótkiego kazania, musiał powiedzieć wszystko o sobie, rodzinie, pracy tam na Śląsku, nawet o tej dziewczynie, w której się ko-

cha. No i chyba rzeczywiście się kocha. Najpierw starym zwyczajem chciałem urządzić coś w rodzaju fabrycznego sądu. Ale tym razem jakoś mi się to wszystko nie zgadzało.

— Jeżeli rzeczywiście się nie zgadzało, to na prośbie...

— Ale niesłusznie — przerwał zdecydowanie. — Srebra musi trafić na swój gwint, człowiek na właściwą metodę. Więc poprosiłem — tak, prosiłem a nie kazałem — aby następnego dnia po południu przyszedł do kawiarni ze swoją dziewczyną. Nie chciałem rozmawiać tu w biurze, jako dyrektor, ale tam, jako starszy od niego człowiek, bardziej doświadczony, a jednak mający za plecami dyrektorską władzę.

— Ja chybs, dyrektorze, nie przyszedłbym. Chłopiec mimo wszystko wydaje mi się bardzo ambitny. A słuchanie przy dziewczynie wymówek, raczej nawet nagany, może grażby... Czy nie za wiele pan żądał?

— Bo też umyśliłem sobie inaczej niż pan sądził. Wiedziałem, że zależy mu na pracy, że nawet boi się zwolnienia, i że rozprawa przed kolegium teraz, dwa lata po powrocie ze Śląska, byłaby dla niego zbyt dużym ciosem. Człowieka można i trzeba naginać, ale nie wolno przelać. W pewnej chwili trzeba mu zdecydowanie pomóc w wyprostowaniu się. Nie za wcześnie, ale i nie za późno.

— Wiec?

— Więc niczego mu przy tej dziewczynie nie wypominałem. Wie pan, chwilami też nie byłem pewien, czy przyjdzie, a jeżeli przyjdzie to czy z nią. Po minach poznałem, że powiedział jej wszystko sam. No — może nie wszystkie szczegóły, ale to wystarczyło. Dziewczyne znam od dziecka, bardzo wartościowa. Więc o tym, co było, ani słowa. Gdy usłyszał pierwsze pytanie — czy chcą się w przy-

(Dokończenie na str. 9)

WAKACJE W SAWINIE

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

NIEZALEŻNIE od moich wyjazdów z rodzicami do tego czy innego letniskiska część wakacji, a w r. 1912 całe lato, spędzałem u wujostwa Iwanowskich w Sawinie. Siostra ojca, ciotka Maria, była mi po rodzicach najukochańszą i najdroższą osobą. Darzyła swego bratanika i chrześniaka wzajemnie silnym uczuciem. Wujostwo i ich dzieci, Sawin, apteka, przylegający do niej ogród — to duży rozdział w moim życiu sięgający od czasów dzieciństwa do lat hitlerowskiej okupacji. Jako chłopiec bawilem się tutaj z młodszymi ode mnie Stefą i Czekiem, by po trzyletnim z górą latami, gdy towarzysze moich zabaw już nie żyli, a jedyną pociechą osieroconych przez dzieci wujostwa była ich wnuczka Alinka, w tym samym ogrodzie, wśród kwitnących wiśni i jabłoni, zdrowie fizycznie i psychicznie po przeżytych doznaniach w oranienburskim obozie koncentracyjnym.

Ciotka była wysoka i szczupłą kobietą, po matce zagrożoną w mło-

dym wieku gruźlicą, której zapobiegł pobyt w Szczawnicy, kształciła się pod opieką siostrz ojca, a mego dziadka, we Lwowie, gdzie doskonale opanowała grę na fortepianie. Subtelna i wrażliwa, lubiła śpiew i muzykę, interesowała się literaturą, kupowała nowości wydawnicze, była chętną i pobłażliwą czytelniką moich chłopięcych grafomanickich wycynków. Wuj Stefan z zaokrągloną brodą był raczej przyziemny, choć lubił także muzykę, brzdąkał na pianinie i kupował gramofonowe płyty. Lubił pograć w winta i preferans, stawiał pasjansy, jeździł na jezioro łowić ryby, żartował rubasznie, stosował poobiednie drzemki, rano pił w łóżku na czczo mocną herbatę, a wieczorem do snu czytał gazety, rządziej książki. Ale miał i ciągoty społecznikowskie. Kiedy po Manifestację Konstytucyjnym w Królestwie uzyskano pewne swobody, wuj złożył w Sawinie kasę pożyczkowo-oszczędnościową, której był prezesem.

Wujostwo z pewnością nie byli dobranym małżeństwem, ale wiązła

ich miłość do chorowitych dzieci, dobroć i uczynność względem ludzi, a potem wspólne nieszczęście: stracili najpierw siedemnastoletniego syna, zmarłego na wciąż zagrażającą naszej rodzinie gruźlicę, a na kilka miesięcy przed katastrofą wrześniową — trzydziestoletnią córkę, ofiarę bolesnej i wyniszczającej choroby — stwardnienia powrózków bocznych rdzenia pęcherzowego. Jej mąż, major Stanisław Zieliński, zginął podczas wojny w obozie oficerskim w Kozielsku.

Ale na razie ta straszliwa przyszłość jest bardzo odległa. W odurzającej woni akacji i jaśminów beztróżko bawimy się we trójkę w ogrodzie, wspinaamy się na drzewa, skubemy owoce, lażymy po płocie i dachu, dosiadamy pocziwko bernarda, kudłatego obrzymo o żółtej sierści, którego wuj ochrzcił groźnym mianem Marsa, a który jest łagodny jak baranek. Prowadzimy wszystkich ekstrawagancji i ich inspiratorem jestem oczywiście ja, najstarszy, cieszący się posłuchem nie tylko młodziej o pięć lat ode

mnie Stefy, a o osiem — Cześka, ale i pokojówki Julki, która także bierze udział w naszych zabawach, a zwłaszcza w „przedstawieniach”. Bo swoje widowisko cyrkowe przenoszę i tutaj w nieco zmodyfikowanej, przystosowanej do innych warunków postaci.

Na wprost drzwi prowadzących z tak zwanego szumnie przyaptecznego laboratorium do ogrodu znajduje się spora altana, a obok niej różnie rozłożysty kasztan. Altana stosownie do potrzeby zastępuje garderobę, w której się przebieramy, albo służy za scenę. Dolna gruba gałąź kasztana — pierwszy szczebel drabiny wnoszącej mnie na sam wierzchołek drzewa — służy do zawieszania trapezu, na którym popisuję się swoimi ewolucjami wiążącąc do niektórych ku przerażeniu ciotki nawet kuzynka: oto na przykład wiszę na nogach ucepionych drążka z opuszczonymi w dół ramionami i trzymam za dłoń małego Cześka huczącąc się z nim w tej pozycji. Występuję jako żongler ze znanym z mego chełmskiego „cyrku” repertuarrem. Pokazuję sztuki z kartami.

Ale widowisko sawińskie ma charakter bardziej urozmaicony. Zawiera w sobie i coś z divertissement, więc „balet” w wykonaniu Stefy i Julki poprzebieganych w stare suknie cioci, w których ośmioletnia dziewczynka płać się i przewraca, więc recytacje wierszy i śpiew. Zainteresowała mnie wśród książek wujostwa historia literatury powszechnej A. Święckiego, a w niej tom poświęcony Chinom, gdzie znalazłem wiersz jakiegoś poety prezentowany w wersji oryginalnej i przekładzie. W powłóczyściej szacie mającej imitować strój mandaryna z przypiętym do włosów konopnym warkoczem deklamowałem po chińsku: „Jeu sing giung giung, nja wo wo lo, min chi wo cji, pin ki czi po. Fang fang jang se...” dalej nie pamiętam, a i to pewno przekreśliłem. A stojąca obok mnie „Chinka” — Julka bębniła potem monotonnie jak wyuczona bezmyślnie lekcję ten sam tekst po polsku: „Wóróc listków czeremchy białej Słowiczek śpiewał radośnie, Wiedział, że śniegi stopniały i przyszedł złożyć hold wiosnie”. Julka bardzo poważnie traktowała pracę w moim zespole. Kiedyś ciotka poleciła jej pójść do sklepu po sprawunki, a moja „artystka” odpowiedziała: „Nie mam czasu, proszę pani! zaraz będzie próba”. Miała też w swoim repertuarze i sentymentalną jarmarczniczą piosenkę. Rzewnie skarzyła się, że „smutno i tęskno jej teraz, a w oczach ma tylko łzy”, że „była przystojna i młoda”, kiedy ją poznał „Juby”: „Awa miłość zgubiła mnie”. Piosenka ciągnęła się w nieskończoność wciąż z tą samą monotona melodią, coraz bardziej rozdzierająca i smutna. Ale ciotka nie miała wlotocnie serca, bo swoje współczucie

W ODLEGIŁOŚCI pięciu kilometrów od Zamościa znajduje się bardzo dziwna wieś. Słynęła o niej jeszcze przed wojną, gdyż pochodziła stamtąd jedna z moich koleżanek. Ta dziwna wieś rozpadła się właścicieli na kilka, objętych wspólną nazwą: Sitaniec, Sitaniec-kolonia i ta kolonia właśnie zainteresowała mnie najbardziej.

Kiedy wróciłam z emigracji do kraju, moja koleżanka Staszka Doleżko, pochodząca z Sitańca, znalazła mój wiersz w „Stolicy” i tak się odnalazłyśmy po wielu latach. Opowiedziała mi swe dzieje. Podczas powstania straciła w Warszawie

Claudel — Klaudem. W ciągu stu pięćdziesięciu lat bytowania na polskiej ziemi potomkowie Albingerów i Tuckendorferów stali się Polakami, zaczęli też powoli zawierać małżeństwa poza swymi rodami — jak na przykład matka mej koleżanki Szpryngierówna, która wyszła za mąż za pisarza gminnego Doleżko.

W czasie drugiej wojny światowej Niemcy, napotkawszy pod Zamościem na tak wzorową, jak im się zdawało, osadę niemiecką, sadzili, że znaleźli wsparcie w walce z Polakami. Tymczasem spotkali się z zacietym oporem, co spowodowało ostre represje. Zaczęto zmuszać kolonistów do podpisywania strasliwych, a znajdując w rodach same nazwiska niemieckie, do czwartego i piątego pokolenia, chcieli ich wszystkich podlegać pod rdzennych Reichsdeutschow. Gestapowcom nie mieściło

pensji panien Decyus w Zamościu, wcześniej zetknęła się z uchem rewolucyjnym i dziś wspólna z ożywieniem swoją działalność z roku 1905, która zaprowadziła ją do celi więziennej. Przed ostatnią wojną pani Szpryngierowa była posem na sejm z ramienia Stronictwa Ludowego. Pozostała do dziś wierna tym tradycjom i przed gangiem swego domu pielęgnuje kłomb w kształcie konicyny — symbolu Stronictwa. Zajmuje się też uprawą mięty. Z zamiłowaniem robi przedziśnię serwetki szydelkowe, sprzedając je czasem w Cepelli i urządzając wystawy.

Oglądając też stare albumy, pełne zamierzonej przeszłości i urokliwego czarowania, wyprzedzała z nich twarze tamtych starych kolonistów, karczmy, oficerowie, doktorzy; znów powracają nazwiska Lempertów, Albingerów i Grünów, piękne panie w bufiastych sukniach, śliczne dziewczyny z kunsztownie upiętymi włosami. Jedną z nich, nieśmiało, wdzięcznie, wyprzedzała z pamięci, to pani Małgorzata. „Wtedy byłam na pensji — mówi — uczyliśmy się polskiej historii skrycie. Często wpadali zandarmi i trzeba było udawać, że się czyta francuskie romansy”. W albumach jest też wiele dawnych pocztówek. Są przedziśnię, kolorowe, tak bardzo różniła się od dzisiejszych. Wśród nich znalazła się też produkcje dzieł sztuki, cykle historyczne, ilustracje do arcydzieł literatury, szychy miast, bohaterowie narodowi.

Czas przechowywany w zabytkach

„Grobisko” w Krynicy

HENRYK GAWARECKI

SZOSA z Rejowca do Krasnegostawu przejeżdża malowniczo przez pasma wzgórz. Na prawo od niej wznosi się grupa najwyższych (280 m) pagórków zbudowanych z piaskowców sarmackich. Na ich stokach rozciąga się wieś Krynica. Już z daleka na jednym z tych wzgórz widoczna jest wysoka wieża.

Klementyna z Tańskich Hoffmannowa podczas swej podróży w Lubelskie w 1826 roku oglądała ten zbytek i opisała go szczegółowo: „...W wielkim lesie na wysokiej górze, wśród starych dębów i jodeł wznosi się piramida... Budowała ta bowiem zdaje się, że na grób jakiegoś datowego wodza czy rycerza stawianą była; lud wiejski z tej okolicy to miejsce grobiskiem nazywa, i wstręt ma do niego niezmierny, gniewa się gdy kto je odwiedza, drogi do niego zaorywa... Powiadają, że przed laty, gdy jakiś ciekawiec czy niszczyciel zdjął podługę (której odtąd nie ma), okazał się loch ogromny, obmurowany i w nim jedna tylko trumna... Bardzo bym rada, żeby jaki badacz starożytności zerwał tam swe kroki i powiedział co to za pamiątka? Dzisiejsi Krupego posiadacze pomimo usilnych starań i zabiegów, nie odkryli, niczego się dowiedzieć nie mogli; powiadano mi jednak, że przeszłego roku, ktoś grzebiąc w gruzach leżących w okolicy (gdzie bardzo już znać rękę czasu na tym pomniku) znalazł duży srebrny pieniąż; nie domyślając się jaka może być wartość takowej pamiątki, przetopił go kazał... Miał być po jednej stronie napis niezrozumiały, a po drugiej postać człowieka, rozdzierającego łwa...”

Michał Baliński w „Starożytnej Polsce” wysunął przypuszczenie, iż grobisko jest pomnikiem jednego z arian Orzechowskich, którzy podobno byli właścicielami pobliskiego Krupego.

Wacław Świątkowski opisując swą wędrowkę po Lubelskiem w 1908 r.

ze smutkiem stwierdził, iż nikt nie opiekuje się tym ciekawym zabytkiem, a nieublagany czas go niszczy. „Zniknie wkrótce z powierzchni ziemi...” — tak kończy swe wrażenia.

Ale „grobisko” pomimo dotkliwych zniszczeń od ognia artylerii podczas drugiej wojny światowej dotrwało do dziś. Odbudowa obiektu przeprowadzona w latach 1956—1957 usunęła niemal wszystkie ślady uszkodzeń.

„Grobisko” wystawione zostało na rucie kwadratu o boku ok. 10 m w kształcie sześcienu nakrytego wysokim ostrosłupem o łącznej wysokości wynoszącej ok. 30 m. Wnętrze nakryte jest krzyżową kolebką. Od frontu znajduje się otwór wejściowy zamknięty półkoliście.

W pozostałych trzech ścianach umieszczone są okrągłe okienka oświetlające wnętrza. Poniziej terenu znajdowała się zapewne sklepiona krypta, dziś niedostępna z powodu zagruzowania. Dolny sześcienną wieżę zbudowany jest z kamienia (miejscowego) i cegły, górny ostrosłup — tylko z cegły.

Jeśli „Grobisko” było w istocie arianską kaplicą grobową, to zapewne znajdowały się w niej szczątki Pawła Orzechowskiego, podkomorzego chełmskiego, właściciela zamku w Krupem, Orzechowskiego, herbu Rogala, należącego do rodziny z dawną osiadłą w Ziemi Chełmskiej i spokrewnieni byli z najznamienitszymi rodami w Polsce. Twórcą znaczenia tej rodziny był właśnie Paweł Orzechowski, urodzony około 1550 roku i zmarły w 1612 roku. Prowadził on żywą działalność polityczną, pozostając w kręgu osoby kanclerza, Jana Zamojskiego, był również szczerym zwolennikiem wyznania arianskiego. Dzięki umiejętnej polityce gospodarczej znacznie podwoił swe majątki. Zmarł we wspaniale przebudowanym w pocz. XVII wieku zamku w Krupem.

BARDZO DZIWNĄ WIEŚ

JOZEF RAZYMIŃSKA

ed jednego uderzenia bomby matkę, ojca, siostrę i synka. Męża jej wywieziono do obozu i tam umarli. Została tylko z jednym synem, dziś studentem. Jej mąż, Michał Szpryngier, pochodził również z Sitańca. W domu Staszki bywało wiele osób i, jak się wkrótce okazało, wszyscy stanowili rodzinę. Byli ze sobą w jakiś sposób spokrewnieni i każdy niemal mógł się doszukać w swym rodowodzie nazwiska Szpryngier. Owe rozległe pokrewieństwo zdumiewało mnie i tak, wjeżdżając ciekawością, zaczęłam odkrywać stare dzieje tej dziwnej wsi Sitaniec.

Przy końcu osiemnastego wieku hrabia Zamojski sprowadził do swych rozległych dóbr, rozciągających się wokół Zamościa, sto rodzin z Alzacji i Lotaryngii celem usprawnienia pracy na roli, gdyż w owym czasie prowincje te były znane z produkującego rolnictwa, a w każdym razie poziom jego był dużo wyższy niż w Polsce, gdzie jeszcze drewniany lemiech nie należał do rzadkości. Rodziny owe, aczkolwiek nosiły w większości nazwiska niemieckie, miały także pewną domieszkę krwi francuskiej.

Przybyśsze zakładali kolonie, separując się od miejscowej ludności chłopskiej, którą przewyższali tak pod względem zamożności, jak też ogólnego poziomu i sposobu bycia. Domy kolonistów zasobne, przypominały małe dwory czy folwarki; gospodarka wzorowa i prowadzona z ścią niemiecką systematycznością, doprowadziła wkrótce ten rejon do kwitnącego stanu. Koloniści zawierali małżeństwa w obrębie swoich odów, czemu nie można było się zżwiż, jest to naturalna niejako samoobrona wszystkich emigrantów, a oni w pewnym sensie byli przeciw emigrantami. Wkrótce jednak obce środowisko, w którym się znaleźli, zaczęło na nich oddziaływać — rzecz nieunikniona, towarzysząca każdej emigracji — i tak wytworzyła się pod Zamościem ciekawa społeczność, obejmująca kilka bliskich sobie wsi, mówiąca po polsku, lecz bardzo odrębna od reszty tak przez zamożność, jak i respektowanie tradycji, objawiające się m. in. przez przywiązanie do swych rodów. W Sitańcu przyszło na świat kilka pokoleń dawnych kolonistów i nosiły już one nazwiska podobne do dawnych tylko z fonetycznego brzmienia. A więc dawny Springer stał się Szpryngierem, Grün — Grynem, Veiland — Wajlandem, a

się w głowie, aby człowiek, który nazywa się Veiland, którego matka zwala się Grün, a dziadek Springer, mógł podawać się za Polaka. Tymczasem właśnie owi ludzie nazwiskiem Lempert czy Hilbert uparcie twierdzili, że są Polakami, nawet gdy na arcydzieł wtracano do więzienia i poddano torturom. Zaczęły się dla Sitańca straszliwe dni. Opornych wywożono do obozów i wysiedlano z gospodarstw. Na ich miejsce przywieziono Niemców z Besarabii, nazwanych przez gospodarzy „czarnymi”, którzy, nie mając pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa na poziomie kolonistów, doprowadzili kwiłtne kolonie do ruiny. Ci nieliczni z kolonistów, którzy przetrwali kaźnię hitlerowską i mogli wrócić do swych domów, zostali wszyscy w ruinie. Swawięz meji koleżanki Wiktor Szpryngier, mający za sobą chlubną kartę walki z okupantem, długo odbudowywał stary dom, wzniesiony przez dziadka przy końcu zeszłego stulecia.

Widziałam ten dom. Przypomina polski dworek. Ma cztery pokoje, ganek, obszerną kuchnię i przybudówkę. Wokół niego jest śliczny kwiatowy ogródek, dalej sad, a z boku rośnie piękna wierzbowa plącączka, olbrzymia, rozłożysta, wspaniała, wyglądająca na sto chyba lat.

Widziałam też cały Sitaniec, gdyż Staszka oprowadzała mnie po wszystkich domach, w których mieszka jej rodzina, na chociaż wzię się tu zmieniło, wiele osób zginęło na wojnie lub powędrowało w świat, a także przybyli tu reparatori z Buga, to przecież ci, co zostali, są jeszcze spokrewnieni ze sobą. Nie przestawałam się dziwić, kiedy Staszka, prowadząc mnie do jakiegoś domu z kolumnkami i gankiem, mówiła na przykład, że mieszka tu jej stryjeczno-cioteczna siostra, albo uświadamiała mi, że matka żony pana domu i dziadek męża to było stryjeczne rodzeństwo. Nie mogłam się zupełnie polapać w tych zawiłych pokrewieństwach. Ale gdy na wszelki wypadek pytałam, czy państwo Lempert lub Albinger mają w rodzie jakiegoś Szpryngiera, mogłam być pewna, że tak.

Zawędrowałam tak na Wolicę do starego domu, w którym rezydowała ciotka Staszki z synem i synową. Owa ciotka, pani Małgorzata z Albingerów Szpryngierowa, jest postacią niezwykle ciekawą. Dziś ma lat osiemdziesiąt, lecz jej żywotność i inteligencja mogą być przedmiotem zazdrości niejednego młodego człowieka. Wychowana na

Synowa pani Małgorzaty, Zofia, działaczka społeczna, pokazuje mi prawdziwego białego krukka: „Brunatną Księżkę”, zbiór dokumentów o zbrodniach hitlerowskich, wydany w polskim tłumaczeniu przed wojną. Nie wiedziałam, że taka ksiązka ukazała się wtedy u nas. Władysław Szpryngier zakupił księgi w czasie wojny, gdy trzeba było uchodzić z domu. Szczęśliwie przetrwała, chociaż kartki jej są mocno nadwątlone pleśnią.

Pani Zofia mówi mi, że organizacja, do której należała wraz z mężem przed wojną (Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej), wiedziała o zbrodniach, ale nie bardzo można było tę wiedzę rozprzeżstrzeniać. ZNMS był zresztą zwalczany przez władze.

Nie tylko w Wolicy są stare domy, spotkać je można w całym Sitańcu, bo każda rodzina ma patriotyczne tradycje i ofiary. Przy szosie prowadzącej przez wieś stoi pomnik ku czci pomordowanych przez hitlerowców mieszkańców wsi i nazwiska Szpryngier, Wajland czy Gryn powtarzają się tam często.

Sitaniec jest dzisiaj zasobna, piękna wieś. Spotyka się tu dawne, masywne domy obok nowoczesnych o charakterze prawie willowym. Wiele domów posiada urządzenia sanitarne i łazienki, telewizory są bardzo często, a nawet telefon nie jest już rzadkością. Co prawda w okresie letnim jest w gospodarstwie tyle pracy, że zmęczeni gospodarze zaspokajają przy telewizorze, lecz za to zima szkiane okienko stałe bliższy w domach. Heleńko u państwa Szpryngierów spoglądałam na mężczyzn, zaspokajających przy telewizorze, uświadamiałam sobie ogrom ich uciążliwej pracy.

Gospodarstwa w Sitańcu są zasobne, a plony, dzięki racjonalnej uprawie, bardzo obfite. Pracujący na roli posiadają przeważnie wykształcenie rolnicze, nie więc dziwne, że dawne kolonie kwitną, wspomagane umiejętnościami i intensywną pracą. Po dawnemu tu wszyscy wspomagają się wzajemnie, po dawnemu są jedną rodziną i kiedy szłam ze Stazką przez wieś lub jechałam parokunką z Michałem, wszyscy się pozdrawiali i zapraszali do siebie. Zresztą owe koligacje rodzinne rozciągają się aż pod Zamość. W samym Zamościu też chyba rezydują jacyś Szpryngierowie czy Grynowie, bo kłaniało się Staszce moc ludzi i spotykała jakichś „stryjeczno-wujecznych” braci, gdy wybrałyśmy się zwiedzić to piękne miasto...

„Grobisko” w Krynicy przed i po remoncie.



„Grobisko” w Krynicy przed i po remoncie.

Fot. Archiwum

dla nieszczęśliwej Julki objawiała wesołym śmiechem.

Publiczność na tych przedstawieniach składała się nie tylko z ciotki, która miała najwięcej poczucia humoru i zaśmiewała się podczas produkcji choreograficznych czy występów recytatorskich moich i wokalistycznych — Julki, ale i zamierała ze strachu patrząc na akrobacje Czeska; przychodził też popatrzeć i postuchać wuj, co chwila zresztą odrywanym dzwoniłkiem do apteki, kucharka, czasem ktoś z przyjezdnych — rodzice lub goście.

Jeden z parkanów ogrodu oddzielał go od podwórza gminy. Pewnych wakacji spełniał on podobną rolę, jak w kilka lat później wspomniany już przez mnie plot w chełmskiej posesji Mietka Magierskiego. Wspinałam się, jedenastoletni Romeo, na to ogrodzenie, a po przeciwną stronę stawała na poprzecznej listwie malaGiulieta — Nadia Mirowska, córka pisarza gminnego. Ja przesiadłam do trzeciej klasy, a ona zdążyła do drugiej w Instytucie Maryjskim. Flirtowałam z nią po rosyjsku, a obecnie przy tej rozmowie Stefia i Czesiek niewiele z niej rozumieł. A flirt był poważny, na miarę moich ówczesnych zainteresowań. Czy zbiera znaczki pocztowe? Szkoła, że nie. A ja mam Nyasę z zyrąfa. Pewno lubi jeździć kolarz? Co, nie była jeszcze w Warszawie? A chodzi do cyrku? Ja jestem trochę cyrkowcem, mogę zaprosić na nasze przedstawienie. Czy woli Ju-

liusza Verne’a, czy Mayne-Reida? Co, nie rozumie? Jesteś blada twarz i muszę cię oskalpować! Rozmowa się nie kleiła. Z delikatną buzią Nadi nie harmonizowały ani jej zainteresowania, ograniczające się wciąż jeszcze do lalek, ani oczytanie. Ot, ładne cielątko. Zaniechałem tedy niefortunnych zalotów.

Ciekawsi, bo egzotyczni byli Żydzi. Czasami wuj wydzierał mi w lecie ogórek. Z jednej strony przyjmowałam to z niezadowolaniem, bo nie wolno było już zrywać owoców ani skubać malin czy porzeczki, korzystało się tylko z zastrzeżonego w umowie tzw. „odsypana”, z drugiej — fakt ten powiększał grońno uczestników naszych zabaw. Arendarz, pilnujący ogrodu przed złodziejami, nocował w specjalnie skleconym w tym celu drewnianym szałasie. W dzień przychodzili do niego dzieci: najstarszy Bejume był w moim wieku. Hana — trochę młodsza od Stefki, a trzyletni umorusany Duwytno — Dawidek nie wchodził w rachubę, bo był za mały do naszych zabaw. Dzieci asystowały przy próbach naszych przedstawień, pomagały nam przy ustawianiu namiotów z derek i chustek wypożyczonych z kuchni. „Ino nie nadacie mi pchlów ani wżów od tych waszych kolegów” — uprzedzała kucharka. Zona arendarza cieszyła się, że jej dzieci przebywają na świeżym powietrzu i że się bawią „w takie inteligentne towarzystwo”. Wujostwo nie mieli nic przeciwko na-

szej poufałości: jak i moim rodzicom antysemityzm był im obcy, przestrzegali tylko przed zbytym zbliżaniem się do nie grzeszących czystością dzieci. To może synek tego Bejume, gdy przyszły okrutne lata zagłady, wykradał się z prześladowanego obozu żydowskiego i stawał przed kolorowymi szybami werandy wujostwa błagając drzącym głosem o chleb i ciepłą strawę. To może córka Hany, młoda przystojna Żydówkę, zastrzelił zandarmi niemieccy na podwórku, kiedy wracała z kuchni posiliwszy się obiadem.

Odpust w Sawinie — jak zresztą każdy odpust dla dzieci — był źródłem uciechy dla młodszych ode mnie Stefki i Czesia, ale i mnie po ciągł jako barwne widowisko. Stragany przed kościołem wypełniały nieskomplikowane zabawki: pięćki, koguciki, rewolwery, chińskie smoki, balony no i oczywiście bluszczące pierścieniki z różnobarwnymi szkiełkami, jaskrawe wataki, paciorki i różne świecidełka. Zgiełek, gwar, zawodzenie zebraków, nawoływanie przekupników, śmiechy i piski parobczaków i dziewczęć, światła gwizdawek, dźwięki organek, strzały kapiszonów w pistoletach — wszystko to składało się na typową jarmarczno-odpuśtową kafonekonię, która miała dla mnie wiele uroku. Bawilo mnie targowanie się kupujących, przekomaranie się młodzieży przed straganami, a zwłaszcza sposób, w jaki ktoś zachwał sprze-

dawane książeczki do nabożeństwa. Zapamiętałem sobie i przyswoiliem intonację tej swoistej reklamy: „Głos do Boga, Zdrowaś Marjo, Zawsze z Bogiem — po czterdziestu groszy!” Powtarzałem potem ciotki, śmiejąc się z moich zdolności imitacyjnych.

Czasami po obiedzie wybieraliśmy się gromadnie wraz z ciotką na odległy o niecały kilometr cmentarz. Wśród wiejskich udamniowanych i ukwieconych lub zapomnianych i bezimiennych grobów znajdowały się nieliczne nagrobkowe pomniki. Wśród nich szara płyta, pod którą spoczywają moi dziadkowie — rodzice ciotki i tatusia: Emilia ze Stoboyów zmarła w r. 1907 i Wincenty Jaworski — w r. 1913. Robiliśmy porządek na grobie, składali kwiaty, siedzieliśmy trochę na laweczce, czasem wymykaliśmy się do pobliskiego lasu. Dziś i wujostwo zajęło miejsce na tym cmentarzu, dokąd nie zaglądałem od lat kilkunastu.

Gdy padał deszcz, buszowaliśmy ku strapieniu wuja w aptecę. Nalewałam na spodek trochę waleriany i wabiłam kota, aby wachał. Śmiałyśmy się do rozpuku obserwując jego ruchy, czajenie się i lubieżne przeciąganie, którym towarzyszyły pomruki zadowolenia. Kiedyś dorwałem się do butli eteru. Wyjąłem duży korek i zacząłem wdychać mocny, jakby orzeźwiający zapach. Po chwili poczułem, że zaczyna mi się kręcić w głowie, że jestem jakby

pijany. Stefa i Czesio poszli za moim przykładem. Kto wie, czym by się skończyła ta narkomania, gdyby wuj nie skrzychał nas, surowo zabraniając powtarzania kiedykolwiek podobnych eksperymentów i wyrzucając nas z laboratorium. Trzeba było szukać spokojniejszej zabawy — graliśmy więc w karty; odchodził „wóz”, „duren”, „wojna” i „świnka” lub bardziej szlachetne sześćdziesiąt sześć i tysiąc. Albo pograżaliśmy się w literaturę: Stefka i Czesio w „Moim Pisemku” czy „Przyjacieli Dzieci”, ja — w jakiejś książce przygodowej.

Wieczorami, mniej więcej co tydzień, odbywały się koncerty gramofonowe. Mieszkała i Redo w repertuarze operetkowym, Sobinow — arie operowe, Wiaćcwa i Panina w romansach cygańskich i piosenki humorystyczne. Znacznie później gramofon ustąpił przed nowoczesnym patefonem z całym bogactwem nagrań operowych w wykonaniu Gigliego, Tita Schipy, Amelity Galli Curci i in. czołowych artystów.

O beztroskie jasne dni sawińskie owoch lat chłopięcych, tak różne od grozy okupacyjnej i wojennej w tym samym Sawinie po trzydziestu latach!

(Rozdział z przygotowanego do druku tomu wspomnień „Wywoływanie duchów”)

PANOWIE jurorzy! Siedzący teraz wokół wielkiego stołu przykrytego zielonym sukniem (może jest to zresztą zwykły stół, albo siedzicie po prostu osobno w głębokich fotelach i wertujecie stopy gęsto zaplanowane prace, czynicie uwagi i notatki, aby wydać ostateczny werdykt, ustalić kolejność miejsc i przyznać nagrody. Jesteście zapracowani. Macie niewiele czasu, a to wszystko, co musicie przeczytać, przeczytać i zadać. Może nawet denerwuje. Chętnie spędziłbyście ten czas w domu przed telewizorem, albo w jakimś ulubionym przez was klubie czy kawiarni, ale nie z tego. Musicie zglebiać cudze myśli, przedzierać się przez cudze zdania. Jesteście do nich przypisani, staliście się niewolnikami was.

Długo czekałem na taką okazję. Mam czytelnika. Nawet nie wiecie co to znaczy mieć pewność, że jest się czytany. Mam nadzieję — uważnie. Ta pewność pozwala mi czuć się tak, jakbym był między wami, jakbym prowadził bezpośrednią rozmowę.

A więc musicie i wy wyobrazić sobie, że oto właśnie wchodzi do pokoju, siadam przed wami i rozpoczynam swoją opowieść:

Nazywam się Jan Traczyk. Jestem początkującym pisarzem. To może zbyt wiele powiedziane, raczej uważam się za początkują-

No, sami powiedzcie, można tak zaczynać opowieść? Szczególnie, że zaraz potem staje się wiadomym, że inżynier jest żonaty, ma też dzieci, samochód i doskonale mieszkanie. A zresztą ten doniosły moment w zakładzie i jego karierze... no, co takiego! I ilekroć zaczynałem, zawsze kiedy do gabinetu wchodziła Eliza, by wypowiedzieć swoją kwestię, zaraz widziałem jej wspaniałe zgrabne nogi, eleganckie gesty i subtelną urodę. To była wspaniała kobieta. Nie uwolniłem się do tychczas od owej wizji i, niestety, tak zaczyna się moja opowieść.

Historia inżyniera Cisa pochłania mnie zresztą do dziś. Wszedłem w jego świat. Stałem się jego cieniem i poznawałem każdy jego krok, jego kontakty, otoczenie.

Okres poprzedzający montaż maszyn był okresem diabła intensywnej pracy inżyniera. Narady, nieprzespane noce. Konferencje i konsultacje. Znowu narady i konferencje... ostatecznie decyzja niełatwa. Chodzi o wiele milionów złotych... Wreszcie opory zostają przełamane i przystąpiono do montażu maszyn. Prace przebiegały sprawnie. Montaż zakończono we właściwym terminie i nastąpiło uroczyste otwarcie nowego działu. Wielki sukces Cisa. Uroczystość kończy wystawne przyjęcie w domu inżyniera. Tu wreszcie mam okazję zaprezentować w pełni jego środowisko: żonę Marię, oczywiście inżyniero-

wożownicę. Przecież można to zupełnie prosto. Nie potrzeba jakichś nadzwyczajnych słów. Można po prostu — jesteśmy. Przyciągnął ją gwałtownie, całował jej oczy i policzki. Poczuł napływającą falę emocji, gwałtowniejsze bicie serca i pulsowanie krwi. Przesłał myślą, stał się wykonawcą nakazów instynktu i tak spełnił to, o czym myślał od miesiąca...

Eliza nie stała się przelotną miłośką Cisa. Była kimś bardzo mu potrzebną. To nie znaczy, że Cis zamierzał zerwać z żoną. Nie. Żona, dzieci, dom, to była jedna sprawa, druga, to Eliza i nowe, ciekawsze życie. Może zresztą nie było ciekawe. Może tylko tak wydawało się Cisowi. Lubił na przykład, kiedy Eliza chwyciła go za głowę, kiedy natarczywie upominała się: — Powiedz, że mnie kochasz Henryku, no powiedz! Kochasz mnie! Prawda?

Zanim jeszcze Henryk Cis pojechał z Elizą nad rzekę, już miesiąc wcześniej, w czasie uroczystego przyjęcia do otwarcia nowego działu, skarżył się przyjacielowi, doktorowi Wyszkiewiczowi, na stan swego zdrowia: bóle głowy, nadmierna nerwowość, coś z sercem i bezzsenność. Ot, przemęczenie.

Henryk trochę symulował. Właściwie udawał przed sobą, że symuluje, bo stan jego zdrowia faktycznie budził pewne obawy. Pracę przy wymianie maszyn nadszarpnęła jego

Półwysp wystawał z wody jak grzebiec gigantycznego karpia. Chodzili na niego obchodząc jezioro wąską ścieżką, początkowo po kamienkach, potem przez bagna i błękit i z niej wchodził w wąską strzęp półwyspa. Przeglądali ją z daleka, bo na półwyspie zamieszkał król. Tam się pasty. Siadali na stromym zboczeniu na szczycie karpia i patrzyli w ciemną wodę, obserwowali nurekowanie perkozów i srebrne skoki ryb. Henryk zamyslił się w takich chwilach i Eliza czuła, że jest od niej daleko, bardzo daleko, wtedy chwyciła go za rękę i prosiła: powiedz o czym myślała. Szybko powiedział, Henryku. No? Myślałaś o mnie? No powiedz.

Opowiadał więc jej rozmaite bajki o najszybszych ludziach i zawsze kończył: ci najszybsi ludzie to ja i ty Elizo. Ale kiedyś powiedział jej, że dom, w którym się urodził, był budowany tak samo, jak ten we wsi na przeciwległym brzegu jeziora. Zaczął mówić o ojcu, którego nie znał i o stryju i przyrodnim rodzeństwie. Opowiadał jej o swoim życiu, o wielkiej drodze, którą przebył. Nie wiele brakowało, żeby inżynier Cis został zwykłym pastuchem w niebogatej wsi. Wiesz Elizo?

Tak. Mogło się przecież tak to odbyć, prawda? W ten sposób Eliza spełniła swoje zadanie, tyle że Cis nie będzie tak szlachetny jak zamierzałem. Zresztą Cisowi wyznaczylem jeszcze jedno zadanie. Nie mam pojęcia, jak on je spełni. Cis odnalazłby swoją drogę na rybackiej łodzi i poszedłby za nakazem serca do swojej wsi.

Cis szedł od przystanku drogą nad łokami. Nad Narwią unosił się mgły. Wylądował się z niej stodoły, chaty te same, które pamiętał sprzed osiemnastu lat. Tylko mury i dachy zlewnia mleka i rytmiczny szereg telegraficznych słupów były nowościami. We wsi było pustko — pora żniw. Pewnie wszyscy w polu. Cis szedł wiejską ulicą, miał znajome domy: tu mieszka Szymczak, tu Drozd, tam Sereta, a oto i jego dom. Nacisnął zapadkę. W sieni stała staruszka. Pan do kogo — zapytała. Do Was. Nie poznajecie? Jezus, toć to Heniek. Nie była pewna co zrobić. Dreptała w miejscu, aż uderzyła kobiecym ruchem podniosła róg fartucha i otarła oczy.

Zapytała pewnie, po co Cis wrócił do wsi? Czy na stałe, czy tylko zobaczyć? Otóż to. Sam nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Pozwolił mu zostać na wsi, skoro ma dobry, potrzebny zawód, byłoby nonsensem. Ale Cis musiał zobaczyć swoją wioskę. Musiał przypatrzeć się swoim dawnym sąsiadom i ich życiu. Byli tu przeważnie starzy. Młodych mało co. „Który tylko do szkoły się dorobił — nie wraca, mówił stryj. Taki już los. Nam starzym trza na roli dosiedzieć. A po nas kto weźmie?” Henryk też nie potrafił dać na to pytanie odpowiedź, ale zaczął rozumieć, że i on też jest winien coś swej wsi.

Tak, panowie jurorzy. Oto właśnie część moich kłopotów. Wczoraj siedziałem do trzeciej na nudnej naradzie. Dziś jest niedziela i mam trochę czasu, żeby pomyśleć o moim Cisie. Może to będzie książka mego życia. Nie wiem, kto to powiedział, ale podobno każdy człowiek może napisać jedną książkę. To będzie chyba właśnie ta książka. Dam jej tytuł: „Powrót Henryka Cisa”, albo „Historia inżyniera Cisa”, zresztą tytuł nie ma znaczenia. Napiszę w niej wszystko cokolwiek wiem o inżynierze, bo Cis żyje, to musicie pamiętać. Może za dziesięć lat ukończę swoją opowieść i wtedy do swojej kartoteki autorów będziecie mogli włożyć nową kartę: Jan Traczyk. Powrót Henryka Cisa. — Może to będzie jedyna pozycja niedzielnego pisarza z prowinnej!

Jest noc. Późno. Mgła wałęsa się pustymi ulicami. Minęła już północ. Niedługo trzeba będzie do pracy. Teraz wy stawiajcie swoje plusy i minusy. To mało dla mnie ważne. Ważne jest, że mnie przeczytaliście. Może ciepłej pomyślicie o wysiłku moim i takich jak ja. Teraz kończę. Skończyła się niedziela.

DO JUROROW

Opowiadanie

ZYGMUNT CIESIELSKI

cego pisarza, nie potrafię bowiem wskazać wam nic, co miałbym na swoim bibliograficznym koncie. Na razie możecie sobie w swoim domowym katalogu autorów zrobić karteczkę — „Jan Traczyk, urodzony w lipcu 1930 roku. Zmarł...” Wykaz pozycji, powiedzmy optymistycznie, dopiszecie potem.

Nazywam się więc Jan Traczyk i trudno się pisarstwem, w wolnych chwilach, oczywiście, bo tak na co dzień jestem zwykłym biurowym i pisma, które formułuję, nie mają nic wspólnego z literaturą. Jeśli nawet chcę komuś nadać nieco wdzięczniejszą formę, sprzeciwiam się temu zwierzchnicy wykreślając jednym pociągnięciem pióra wszelkie ozdobniki.

A więc jako się powiedziało, moje pisanie jest „niedzielne” i na pewno wydaje się wam zarozumiałością moją chęć dorównania profesjonalistom (bo przecież można być plastykiem amatorem, ale amatorem pisarzem?). Nie. Takich myśli nie dopuszczam. Dobrze wiem, że nie mam absolutnie żadnych szans dorównania zawodowcom, a mimo to nie potrafię odmówić sobie przyjemności przekazywania wam paru myśli, ot, takiego sobie pogawędzenia. Sądję, pozwoli to wam lepiej zrozumieć psychikę takich jak ja, tych, których macie za zwykłych grafomanami. Może nawet na pewno jesteście grafomanami! Na przykład ja. Wyobraźcie sobie, piszę od piętnastu blisko lat i moje uparte dążenie do literatury zamyka się skromnym stosem nie wyrzucanych jeszcze stron nie dokończonych opowieści. Zastanawiałem się nieraz, czemu tyle lat tracę na niezdarnie wypisywanie zdań, skoro nie udaje mi się ułożyć ich w właściwy sens. To jest tak jak z pieczeniem ciasta: mąka jest, jajka są, dajecie też proszek i drożdże, a mimo tego placek nie rośnie i wyciąganie z pieca zakalcowaty zagniótek. Otóż nie wiem dlaczego stale wyciągam takie literackie zagniótki. Wiem o tym i drę na strzępy nieudane strony, a te, co na nowo zapisuję, nie zadowolają co najmniej tak samo jak poprzednie. Tak do niedzieli ten wasz autor Traczyk.

Swoją opowieść zacząłem pisać przed czterema laty. Przebrnąłem dotąd przez kilka rozdziałów. Jak tak dalej pójdzie może za dziesięć lat dokonam dzieła życia? No, ale powiedzcie sami: jak mogę skończyć tę swoją opowieść skoro bohater nie chce czynić tego, co ja bym pragnął, skoro wylamuje się ciągle z mojej koncepcji? Wybrałem, niestety, żywą postać i ciągle muszę wносить poprawki, korekty. A wydawało się, że nie prostszego jak swoje konkretne obserwacje przenieść w karty książki.

Powieść zaczynałem wielokrotnie. Utkwił mi szczegół, którego w żaden sposób nie mogłem wyminąć.

Mój bohater, inżynier Cis, siedzi w gabinecie. W zakładzie moment doniosły. Przystąpiono do montażu nowego urządzenia konstrukcji inżyniera Cisa. Właśnie do gabinetu wchodzi sekretarka Eliza i mówi: „Panie inżynierze, skończono demontaż maszyn A-6”.

Musicie wczuć się w ten moment. To jest bardzo ważne. To jest właśnie najważniejsze. Maszyny A-6 były zawsze wąskim gardłem zakładu. Właśnie Cis pokonał ten problem i jest to jego największy sukces. Demontaż starych maszyn i wprowadzenie nowych. To symbol. Symbol nowych osiągnięć. To także symbol zwycięstwa inżyniera Cisa. Zastajemy go u szczytu zawodowych osiągnięć. Tymczasem w mojej opowieści dzieje się coś, czego nie potrafię zrozumieć — inżynier Cis patrzy na sekretarkę Elizę i myśli: „Bardzo zgrabna jest ta Eliza. Dlaczego na to nie zwracałem dotąd uwagi? Hm... pięknie zgrabna dziewczyna. Zawsze czysta, gustownie ubrana i taka świeża... trzeba pomyśleć o jakimś służbowym wyjeździe. Ładna sztuczka, ta Eliza...”

wą, doktorową Irenę i dyrektorką Hannę, wreszcie kilkunastu inżynierów, dyrektorów, jakiś doktor i magistr...
Pytacie skąd te tytuły?

Racja! One jednak tworzą właściwą atmosferę, jaka otacza inżyniera. Rozmowy o samochodach, drogich wódkach i wycieczkach do Złotych Piasków i Mama! dopełniają ją znakomicie. A więc musicie zrozumieć — inżynier Cis siedzi w środku współczesnego snobistycznego mieszczaństwa. Obrósł w dobra materialne, jego sukcesy zatarły mu właściwe proporcje świata, znalazł się nie spodziewanie w pewnej elicie, która coraz bardziej zamyka się i izoluje. Pani doktorowa Irena wypowiada w pewnym momencie takie zdanie: „Nie wyobrażam sobie inteligentnego człowieka bez samochodu...” Pani Irena wypowiada to w ten sposób pewien pogląd, zaakceptowany przez środowisko inżyniera Cisa. Poglądowi go jeszcze pani Hanna, kiedy mówi: „muszę codziennie podwozić Ewunię do szkoły, przecież nie pozwolę, żeby dziecko chodziło pieszo...”

Takie jest środowisko Cisa. Nic na to nie poradzę. Takie jest.

Zastanawiałem się długo, czy Cis wrócił do środowiska zupełnie? Nie wiem. To znaczy nie wiedziałem do chwili sprawy Elizy.

Może przeczułem jej rolę wtedy, gdy natrętnie wypychał mi się do powieści jej zgrabny tyłeczek. Może już wtedy wiedziałem, że jej rola będzie miała w powieści pierwszorzędne znaczenie?

Inżynier Cis nawiązywał powoli romans z Elizą. Przód cieniutki nie romansu, ot, nieznać słówko: „Ładnie dziś pani wygląda, Elizo”, „O! jakie śliczne ma pani kolczyki!”, „Pani to najlepiej zatłw”, do tego jeszcze uśmiech, uprzejmy gest. Zaczęły się powoli wytwarzać sytuacje wyraźniejsze, aż do pilnej popołudniowej pracy, kiedy to wreszcie bez świadków mógł inżynier Cis wypowiedzieć swoje pragnienia i zaspokoić ciekawość co do stosunku Elizy. Rozegrało się to w jego Octavii. Z zakładu wyszli o pięćty...
— Podwożę panią, Elizo — Otworzył drzwi i patrzył, jak wsiada bokiem, potem podciągając nogi lokuje je w samochodzie. Zobaczył wtedy jej kolana o gładkiej skórze i pełne apetyczne uda. Zatrzasnął drzwi i zapalił silnik. Zanim nacisnął starter wrócił się do Elizy i zapytał: — Ma pani jakieś plany na dzisiejsze popołudnie? Eliza popatrzyła na niego spojrzeniem szybkim, jakby chciała zrozumieć podtekst tego pytania, uśmiechnęła się wesoło: — Nie. Nie lubię robić żadnych planów.

— To świetnie, — ucieszył się Cis. — Zapraszam panią na podwieczorek. Znam tu niedawno taką nie bardzo podłą gospodę. Będziecie mieli tam wspaniałe powietrze i widok na rzekę. Uwielbiam wodę.

— Zgoda. Niech będzie woda i ta podława gospoda.

Cis ruszył, Octavia wytoczyła się za bramę zakładu, potem skręciła na szosę w stronę widniejącego z dala lasu. Strzałka szybkościomierza skoczyła do osiemdziesiątki. Pola pachniały wiosną, nad nimi wisiały szare dźwięki skowronków, w rowach żółciły się kwiaty.

— Wspaniale — szepnęła Eliza. Siedziała z odchyłką do tyłu głową. Oczy miała półprzymknięte. Rozkoszowała się pędem i zmiennością widoków.

Jechali tak może pół godziny, gdy Cis przyhamował i zjechał z szosy w boczną drogę. Za chwilę stanęli przed gospodą. Była bardzo podła i pełno w niej było ludzi, którzy popijali piwo i hałasowali. Znaleźli wolny kąt i zjedli jakieś mięso. Potem poszli nad rzekę. Tu było naprawdę spokojnie. Usiedli na jakiejś kłodzie, która leżała nad wodą. Widzieli w wodzie swoje odbicia kołyszące się rytmicznie. Wtedy Eliza powiedziała: — Jacy jesteśmy śmieszni. Cis poczuł się zaskoczony prostotą tego stwierdzenia. Jesteśmy? Ależ

zdrowie. Uspokajał siebie, że to przejdzie, zarazem chciał sobie wykroić jakiś spokojny urlop. Jeszcze nie myślał wtedy, że chce go spędzić z Elizą, ale tak trochę, sądzę, przeczuwał już tę sytuację. W czerwcu poszedł do doktora na oficjalną wizytę. Orzeczenie było jednoznaczne: „Żadnych Sopotów, żadnych Krynii. Spokój. Pamiętać chłopoty, tylko spokój. Radziłbym ci jak najbardziej zabijać dechami wień. Rzuć palenie, alkohol, wypoczywaj, nie tylko wypoczywaj. Las, woda, powietrze i nabiał. To zrobi ci najwięcej”.

Po tej wizycie Cis poszedł skwaszony do domu, gdzie zdecydowano, że Maria z dziećmi pojedzie do Juraty, on jednak wyjedzie gdzieś na wieś. Potem poszedł od razu do Elizy. Cieszyli się na ten urlop. Oczekiwali go niecierpliwie.

I tu historia Cisa zaczęła mi się wyraźnie psuć. Miałem wszystko zaplanowane. Wiedziałem o Cisie więcej niż on sam. Chciałem żeby pojechał sam na tę wieś. Żeby pozostał przez pewien czas poza swoimi fabrycznymi sprawami. Chciałem, żeby miał okazję powiedzieć leżąc na bezładnej plaży: „Jestem inżynier Henryk Cis. Wypoczywam. Pławię się w słońcu, przenikam przez kryształową wodę. To najcudowniejsze powietrze mam do swojej dyspozycji. Zawołam do rybaków na łodzi — zabierzcie ze sobą Cisa! Nie wiecie, kto ja jestem? Nie czytaliście gazet? Ja przecież zbudowałem w swojej fabryce najdoskonalsze w świecie maszyny. Jestem szczęśliwy! Rybacy odpowiedziliby: „Panie! Widział pan jak się świętuję stawia? Niech pan jedzie z nami na jezioro”.

Cis siedziałby na czubie łodzi i musiałby patrzeć w twarz rybaków. Zobaczyłby je pomarszczone, spalone wiatrem i musiałby wtedy sobie przypomnieć, że taką twarz miał jego stryj (bo ojca już nie znał) i że kiedyś patrzył już w jego twarz, taką samą jak te, tych rybaków, tylko wtedy jechał furą. Stryj wiozł go do miasta. Jechał trzydzieści kilometrów. Była jesień. Bloto mieszało się pod kołami. Pola były gołe. Mgła rozciągnęła widok.

Na furce był stary wojskowy plecak wypchany jego rzeczami, tobołek z pościelą, ponadto koszyk — zwykła łubianka z prowiantem. Tylko to było jego. Reszta była niewiadoma.

O takich sprawach miał myśleć Cis na swoim urlopie, a z Elizą? Co zrobić z Elizą? Przez nią wypoczyła mi się świetlana postać bohatera.

Cis nadawał się na taką postać. Wysoki mężczyzna, szczupły. Bez śladu brzuska. Można nawet powiedzieć — wysportowany (choć gwałtownie nigdy sportów nie uprawiał). Na skroniach lekka siwizna, ot taki niewielki szronik. Oczy jasne, twarde. No i te sukcesy zawodowe. Ta przebyta droga od owej chwili na wozie, kiedy opuszczał swoją wieś, aż do momentu, kiedy u szczytu swojej kariery, czuje się taki zmęczony. To zmęczenie jest dwaokładnego rodzaju: rozstrój nerwów, wyczerpanie pracą, wielkim zrywem. Tak. Ale też środowisko. Ono wymaga specjalnych wysiłków. Trzeba przez pewien czas nie być sobą. Otóż to Cisowi nie odpowiadało. On się do tego musiał nagiąć. Został w to wplątany. Może zresztą wplątał się sam. Na pewno. Zaimponowały mu zarobki, musiał sobie odbić lata wyrzeczeń: chude studia, przeharowane wakacje. Nagle mógł mieć, mógł zaspokajać swoje zachcianki. Ambicję dopinguwała Maria. Żądała strojów, samochodów, mebli, wysokiego standardu życia. Nie widział powodu, żeby się sprzeciwić, ale teraz miał już dość. To było właśnie drugie zmęczenie.

A może Eliza? Zaraz. Może właśnie Eliza jest tym wypoczywkiem? Może tym wypoczywkiem jest stwierdzenie — „Jacy jesteśmy śmieszni!” I te wszystkie dziecięce zachcianki.

TADEUSZ KUBAS licentia poetica

Bogdanowi L.

kulą ognistą
można toczyć
myśl
po zakrzepłej
serca grudzie

puszka mózgowa
krzeska słowo

w śleń słów
zapędzać czas
maczuga

dzieciństwo

wtargnąłem
przesmykami uliczek
w jarmarcznej architekturze
w życie brzemienne
w pląg gruźlicy
i pląsających szeszurów

ojciec
przeklinał wszystko

mnie smakował
kęs razowca
bawily
tańczące rosy
na suflecie
radowała
własna nagość

(z cyklu wierszy pt. „Razów”)

odpowiedzi redakcji

P. M. w Szczawnie Zdroju. Z Pana przeszedł w rodzaju: „Tym chata bogata, a ukradnie tata”.

M. K. w Dąbrowie Tarnowskiej. Zastawiliśmy się. Może w formie listu do redakcji, bo rzecz sama w sobie jest ciekawa.

E. P. w Warszawie. Może i tym razem wybierzemy, ale — jak zwykle w takich wypadkach — prosimy o cierpliwość.

B. S. W. w Chebrzanach. Nje sądził, aby pociągnął Pan postępy. Ciągłe zachęcamy do czytania wierszy zarówno współczesnych jak i dawniejszych poetów. Metafor, których używa Pan w swoich utworach, są zbyt ograniczone.

E. Z. w Radomsku. Dziękujemy za kolejną wiersz. Trudno nam jednak w tej chwili cokolwiek obiecywać, bo kolejka długa, a Pana utwór drukowaliśmy stosunkowo niedawno.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Białostocka Orkiestra Symfoniczna rozpoczęła sezon 23 września, koncert zawierał utwory wyłącznie kompozytorów polskich. Polska muzyka będzie przeważała i na następnych koncertach.

Ponad 500 arcydziełowych ekspozycji zamontowano na wystawie „Dzieje oręźa w Tysiącleciu na ziemiach woj. białostockiego”, otwartej w Muzeum Okręgowym.

Fotografik białostocki, Waidemar Grzegorzczak, odniósł nowy sukces. Jego praca jako jedna z 12 fotografii została zakwalifikowana przez komisję III salonu europejskiego sztuki fotograficznej w Reims we Francji.

KIELCE

Ponad 25 000 osób zwiedziło Muzeum Świętokrzyskie w ciągu 3 miesięcy letnich. W najbliższym czasie ze zbiorów wawelskich zostanie tam zorganizowana wystawa o Turcji, uzupełniona cyklem prelekcji.

Kielecka „Warszawa” została przekształcona — przez 8 dni w miasteczko — na kino studyjne. Pierwszy cykl nosił nazwę „Współczesne tendencje w sensacyjnym filmie francuskim”. Mamy nadzieję, że po tym „haczyku na widza” program będzie bardziej studyjny i „kulturalny”.

Miejska i powiatowa biblioteka w Sandomierzu obchodzi 60-lecie powstania. Z tej okazji ma otrzymać nazwę im. Jana Długosza.

W ostatnich 3 latach każdy mieszkaniec i kuracjusze Baska-Zdroju uczestniczył 23 razy w imprezach, zorganizowanych przez Dom Kultury. A jego kierownik, A. Włodarczyk, jeszcze nie jest zadowolony.

Pierwsze nagrody Kielc za osiągnięcia naukowe i artystyczne otrzymali: Janusz Kuczyński i Zygmunt Pyzik (Muzeum Świętokrzyskie), Ryszard Mierlik (autor „Matola” i „Ciosania”), Ryszard Smolewski (Teatrzyk Dzieciom i Aktorów). Wyróżnienia: Waldemar Kurejba (rozdźwięki PR), Zbigniew Kurkowski (plastyk) i Edward Modrzewski (architekt). Gratulujemy!

LUBLIN

70 uniwersytetów dla rodziców oraz 15 — nowoś — społecznych studiów wychowania społecznego uruchamia na okres jesienno-zimowy oddział lubelski Towarzystwa Szkoły Świeckiej.

Tylko część placówek kulturalnych Lublina była gotowa do pracy w połowie września. Tu świetlice lub klub zamieniono na magazyn, tam właśnie zaczęto remonty, gdzie indziej trwają utropy...

Z okazji 500-lecia istnienia Janowa Podlaskiego zaczęto budowę domu mieszkalnego. Podczas robienia wy-

kopów odkryto garnek gliniasty, a w nim prawie 4 kg monet z czasów Jana Kazimierza

Teatr Akademicki, mający piękny i własny lokal, z rozmachem przygotowuje nowy sezon. Na początek własny program „Słogi Erechta”, potem wizyty kabaretów krakowskiej „Jammy Michalkowej” oraz warszawskich „Hybrydy” i „Owca”.

RZESZÓW

Laureatami nagród WRN zostali: Władysław Bobek (za działalność w ZDK w Stalowej Woli), Kazimierz Mierczyński (pedagog i rzeźbiarz), Edward Kiefferling (pedagog i malarz), doc. Roman Niedzielski (rektor WSI) oraz zbiornikowcy. Przyjaciół Nauk w Przemysku, hieronimów Zawodowego Studium Administracyjnego przy UMCS w Lublinie, zespół redakcyjny „Widnokręgu”, dodatku do „Nowin Rzeszowskich”. Gratulujemy! (O ostatnich laureatach piszemy w „Przebiegu Prasy”).

W Tarnobrzegu oddano do użytku filię młodzieżowej Zakładowego Domu Kultury Kopalni i Zakładów Przemysłowych Siarki. Na inauguracji wystąpił Teatr im. Siemaskowej.

Teatr Słowa „Meluzyna” przy WSK w Rzeszowie ukończył 5 lat, co wśród zespołów amatorskich oznacza wcale dorosły wiek. W tym czasie wystawiono 19 premier — było 238 spektakli, na które przyszło 79 tys. widzów. Zespół zdobył 19 nagród i wyróżnień.

Referat Historii Partii przy KW PZPR wydal arcydziełowe „Materiały z sesji popularyzatorskiej, poświęconej zagadnieniom kształtowania się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie”. Sesja ta odbyła się w Łańcucie.

W Wielosiu pod Tarnobrzegiem 15 września wmurowano akt erekcyjny pod budowę szkoły im. Stanisława Piętaka.

„Zeszyty Prasowe — znawcze”

W ŚWIETLE wycinkowych badań socjologicznych okazuje się, że młodzież w znacznie większym stopniu niż doradzi dysponuje wolnym czasem... Po parę godzin wolnego czasu dziennie miało 64 proc. badanych w wieku do 25 lat, ale tylko 4-9 proc. starszych... Jedną czwartą młodych ludzi w wieku 15-25 lat odpowiedziało, że nie wie co robić z wolnym czasem...

„Nie znaczy to, że wolny czas młodzieży nie jest już w bardzo intensywny sposób zaabsorbowany przez prasę. Te same badania stwierdzają, że wyciągając nieporównanie większy udział osób młodszych we wszystkich typach zajęć czasu wolnego. W dni powszednie gazety czytają 73,3 proc. badanych w wieku 15-24 lat i 73,1 proc. w wieku 25-40 lat. Znacznie powszechniejszym sposobem spędzania wolnego czasu w dni powszednie jest lektura czasopism wśród młodzieży (43,1 proc.) niż wśród starszych (27,5 proc.)... Co więcej — jeżeli wierzyć ankietowanym, gazety pochłaniają im więcej czasu niż książki, niemal dwa razy więcej niż kino, a trzy razy więcej niż sport.

Oto przykład, jak bardzo ciekawa a jednocześnie kontrowersyjna materiały można znaleźć w „Zeszytach Prasoznawczych”. Kwartalnik ten, wydawany w Krakowie przez Ośrodek Badań Prasoznawczych RSW Prasa, ukazuje się już od 6 lat. Niestety, jest on dotychczas zbyt mało znany. A przecież, nieco wbrew tytułowi, czytać go mogą, a raczej powinni nie tylko dziennikarze, naukowcy czy praktycy z instytucji prasowo-wydawniczych.

Jest to jedyny w Polsce periodyk naukowy, zajmujący się zagadnieniami prawnymi, polskimi i zagranicznymi. Zagadnienia te rozpatrywane są na bardzo szczegółowo — od socjologii do ekonomii przez prawo i językoznawstwo. Są więc rozprawy naukowe, teoretyczne i oparte na różnych badaniach i ankietach, bądź po prostu wyniki tych badań i ankiety, przeprowadzanych przez sam Ośrodek lub inne placówki naukowo-badawcze w kraju i za granicą. Czasem wyniki są wprost zaskakujące — jak w omawianym przykładzie czytelnictwa prasy przez młodzież. Czyż nie okazuje się, że w wychowywaniu i uczeniu młodego pokolenia prasa odgrywa znacznie większą rolę, niż się to powszechnie przypuszcza? Czyż w tej sytuacji redaktorzy nie powinni bardziej zastanawiać się nad tym, co i jak drukują?

Ostatni (2-3) numer „Zeszytów Prasoznawczych” to solidny tom objętości 216 stron druku. Pierwszy dział „Z problemów aktualnych” zawiera 3 artykuły o działach partyjnych w gazetach. Wśród 6 rozpraw naukowych szczególnie podobala nam się praca Waleriego Pilska „Recepty na zromantologowanie wywiadu”. Polecamy ją niekierownikom autorem periodyków centralnych. Wśród 4 artykułów dyskusyjnych obok wspomnianego już materiału wiele refleksji nasyca praca Władysława Zemanika „Słucha zdrowia i prasa”. Autor, który jest doktorem medycyny zebrał 185 doniesień prasowych o wykroczeniach pracowniczych służby zdrowia i zastanawia się nad efektami tych publikacji, dochodząc do bardzo oryginalnych wniosków

Bogaty materiał „Zeszytów” uzupełniają obszernie recenzje, omówienia, noty, kronika naukowa, informacje z kraju i ze świata.

„Zeszyty Prasoznawcze” można nabyć w klubach MKK Ruch oraz księgarniach naukowych Domu Książki. Ale najlepiej zamówić prenumeratę u listonosza lub w każdym urzędzie pocztowym. Cena egzemplarza i prenumeraty kwartalnej 20 zł, wyjątkowo ostatni podwójny numer kosztuje 40 zł.

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielecki, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Miłkowski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka”), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41, KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu”), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49 Zam. 3231, 27.IX.66, L-4

Największy wydawca świata

Na łamach tygodnika „Niedziela” ukazał się wywiad z Mikołajem Michajłowem, przewodniczącym Komitetu do Spraw Wydawnictw przy Radzie Ministrów ZSRR. Oto najciekawsze fragmenty.

W 1964 r. wydano w ZSRR 76 tys. tytułów książek, z tej liczby 8.765 tytułów przypada na literaturę piękna. W tym samym czasie produkcja wydawnicza w USA wyniosła 28,4 tys. tytułów, w Anglii — 26,1 tys., we Francji — 23,9 tys. W roku 1965 wydano w ZSRR 77 tys. tytułów w nakładzie 1.273 mln egzemplarzy. Zgodnie z danymi UNESCO na Związek Radziecki przypada 1/4 całej produkcji wydawniczej na świecie. Ogółem w latach władzy radzieckiej — jak stwierdził Michajłow — wydano w ZSRR 13 miliardów książek (517 tysięcy tytułów). Z tej liczby 7 miliardów przypada na literaturę piękną; przeszło miliard książek wydano w językach 70 narodowości zamieszkujących ZSRR.

Obecnie wszystkie wydawnictwa realizują plany wydawnicze dla uczczenia 50-lecia Rewolucji Październikowej. Plan przewiduje wydanie ok. 1000 tytułów książek. Główną pozycję stanowią dzieła Lenina, jak również książki o życiu i działalności twórcy państwa radzieckiego.

W dziedzinie literatury pięknej największe osiągnięcie stanowi 55-tomowa seria pt. „50 lat powieści radzieckiej”, zawierająca najwybitniejsze dzieła, które powstały w okresie ostatniego półwiecza. Ciekawie zapowiada się biblioteczka poezji republik ZSRR.

W roku 1967 zacznie wychodzić również „Biblioteka literatury światowej”, która będzie się składać z 200 tomów — arcydzieł literatury światowej. Publikacja tej serii obliczona jest na 10 lat.

(KT)

Śladami Fairbanksa

NIEDAWNO temu, w okresie, gdy dziatwa szkolna wymienia jeszcze opowieści znad wody, z gór, pól i lasów, pewne stałe grono miłośników teatru otrzymało zawsze cenione zaproszenia na premierę. Tym razem — sztuki Janusza Mazanka i Romana Sykały „Robin Hood”. Dyrekcja Teatru im. J. Osterwy przyrzekała z miłą intymnością, że „będzie to okazja do odnowienia wspomnień młodzieńczych lat, kiedy to właśnie tego rodzaju lektura pobudzała naszą fantazję”. „Kochani” — pomyślałam rozczulona — „nie ma przecież obawy, nikt z nas nie weźmie tego „Robin Hooda” za otwarcie sezonu. Orientujemy się, iż jest to po prostu taki „Wrzesień Teatralny” na kształt: „Wrzesnia Muzycznego” Filharmonii”.

Nie wiem, jak tam było z kolektywną idyllą wspomnieniową na galówce, z powodu zagęszczenia w harmonogramie musiałam odłożyć zabieg odmiładzający do innego dnia, lecz dalszego bardzo sobie chwale przypadek, dzięki któremu spędziłam dwie godziny w atmosferze żywiołowej wesołości nastoletków. Tych, co bliżej są lat dziesięciu niż dziewiętnastu. Oto właśnie sztuka w sam raz dla nich, choć przy kasie nie było większych „Dozwolone do lat 16”!

Ale gdzieś w powiecie niedopieczonym pod względem rozrywek

pójdą ochoczo na „Robin Hooda” i dorosli — „Ania z Zielonego Wzgórza” była u nas bestsellerem. „Swoją drogą, wruszający jest do prawdy fakt, że mimo nawalu wszelkiego draństwa, ludzkość wciąż wiernie kocha dobro i sprawiedliwość” — dumano mi się blogo i banalnie na widowni Teatru im. Osterwy. „Wszak osławiony banita Robin Hood z pewnością nie prowadził w puszczy Sherwood zbyt światłobliwego żywota, a popatrzy, na jakiego wyrósł bohater — całkiem pozytywnie schematycznie! Niczym w bajce, no bo bajecznie właśnie jest, wytekniony jako obrońca krzywdzonego ludu”.

Czy istniał w rzeczywistości — kłóż tego dojdzie? Już w roku 1230 figuruje podobno w jakimś spisie podatkowym „Robertus Hood fugitivus”, pierwszy szczegółowy życiorys „Lytell Geste of Robyn Hooda” z r. 1495 lokuje go na południowym zachodzie hrabstwa Yorku, a sumienny XVIII-wieczny badacz literatury angielskiej Joseph Ritson, który zebrał wszystkie stare pieśni i ballady o Robin Hoodzie, stwierdził, że urodził się on mniej więcej w 1160 r. w Locksley, w hrabstwie Nottingham, że prawdziwe jego nazwisko brzmiało Fitz-Ooth i że miał on niby być powszechnie uważany za człowieka wysokiego rodu. Nawiasem mówiąc, u Waltera Scotta, w powieści „Ivanhoe”, w sensacyjnym fragmencie, gdzie Robin Hood ratuje życie Ryszardowi Lwie Serce, ukrywa się on początkowo pod pseudonimem Locksley.

Lecz dość historii, która ociera się co krok o legendę. Wszystko tu jest bardzo romantycznie zamgławiane, a w stosunku do naszych potrzeb właściwie dygresyjne, bo Robin Hood J. Mazanka i R. Sykały, choć kostiumowy, ma być nowoczesny i zupełnie aktualną trzyma mowę z trybuny leśnej w VI obrazie. Sztuka jest bezsprzecznie nader przydatna do celów społeczno-wychowawczych. Gorzej jest z jej artystycznym. Dialogi są bezbarwne, postaci nijakie. A taką wdzięczny temat! Chętnie bym przeczytała książkę Howarda Pyle’a, której poetycki fragment zamieszczono w programie. A może warto by zainteresować się sztuką Tennysona o Robin Hoodzie?

Z mizernego tekstu scenariusza (bo „sztuka” to nie jest!) stworzył reżyser Stanisław Miłski, wraz z

sympatycznym młodym zespołem, w którym jak rodzynek tkwi Aleksander Aleksey — spektakl zgrabny, żywy i przyjemny. Ojciec Tuck Aleksego budzi entuzjazm młodocianych widzów każdym ruchem, gestem i nawet najbardziej plaskimi dowcipami autorów. Osobiście, bawiłam się razem z młodzieżą przy wszystkich wejściach Jerzego Felczyńskiego (zwłaszcza udana była scena w wartowni zamkowej), jakimś cudem zrobił on z niczego kapitalną figurę komendanta straży palacowej. Krzysztof Różycki (Allan) skutecznie przybierał postawę postaci cholowej, z tego aktora na pewno będziemy mieli pociechę (świetne warunki sceniczne, temperament, ładny głos). Dobrym nabytkiem jest także Roman Kruczkowski, prezentujący Dickona z Oxtou jako bystrego, rozgarniętego chłopaka. Cóż dalej? Marian Drozdowski gra Robin Hooda „dydaktycznie”, gdyż musi nadrabiać posturę intelektem; czarne charaktery (Jerzy Smyk — Szeryf i Maciej Polak — Podstarosta) — jak to czarne charaktery; Andrzej Chmielarczyk udaje, na życzenie autorów, zaskakująco dobrolłowego Księcia; Ludwik Paczyński otrzymał nie tyle postać, ile funkcję, którą można by nazwać nowoczesnie „Zawiadomienie-o-pożarze-dwo-ru”; pozostał aktorzy w gruncie rzeczy ofiarnie statują.

Panie: Zofia Stefańska (księżna Izolda), Zyta Polomska (Marianna), Wiesława Grochowska (komendantowa), Ludwina Nowicka (Matylda Kropido) i Maria Kaczowska (matka Dickona) są w łatwiejszej sytuacji, bo dostały wdzięczne epizodyki.

Najbardziej efektowna jest scena przybycia „wagantów” na zamek (obraz VI), zakończona brawurową walką. Zresztą wszystkie szermierki są diablo dzikie, niemal jak w filmie, a bez ułatwień.

Dekoracje Janusza Warpechowskiego, „neorealistyczne”, podnoszą rangę spektaklu. Muzyka „operowo-symfoniczna”, zaczerpnięta z różnych znakomitych dzieł, nieproporcjonalnie przewyższa poziom sztuki.

Tak czy owak pozycja młodzieżowa z pewnością była potrzebna w repertuarze naszego teatru dramatycznego.

M. Bechzyc-Rudnicka

Człowiek odnaleziony

(Dokończenie ze str. 6)

szłości pobrać? — trochę oniemiał. Ale potwierdził, ona spuściła oczy.

— Trochę to po staroświecku...

— Nic nie szkodzi. Powiedziałem im, że czas już sobie ułożyć życie, że im pomogę w załatwieniu mieszkania, chociaż w Białej to bardzo trudno i nie na pewno nie obiecuję. Ale stawiam zasadniczy warunek: zapiszę się do technikum wieczorowego. I przyrzeknie mi tu na wszystko, że będzie się dobrze uczył. Trochę się wahał, widać nie potrafił sprawę lekko — i przyrzekł. Zjedliśmy lody, oczywiście ja zapłaciłem, no i rozeszliśmy się.

— Zaraz, zaraz, dyrektorze — za-protestowałem — a co z tym pobiciem? Milicja nie taka skóra do machnięcia służbową ręką.

— Skóra, nie skóra — załatwiłem. Powiedziałem im, co i jak było w kawiarni i że obiecał się uczyć. No i że ja mu wierzę. Zgodzili się, że nie on zaczepił, ale że tamten pijak rozpoczął całe zajście. Powiedziałem wprawdzie, że mój chłopak też nie był bez winy, ale przyznał, że to chyba dobra metoda wychowawcza. Myślałem, że wszyscy razem zrobiliśmy dobrze.

— Pożegnaliśmy się w tej samej kawiarni. Potem w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej dał mi plik gęsto zapisanego papieru: „Skrócone sprawozdanie z realizacji planów gospodarczych powiatu Biała Podlaska za rok 1965”.

Prawie 22 strony zawierało to „skrócone sprawozdanie”. Wracając do Lublina z dyrektorem oddziału wojewódzkiego Centrali Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. Opowiadał z zadowoleniem, że tamtejszej spółdzielni przydzielili dodatkowe kredyty, że Biała będzie objęta koncentracją spółdzielczych nakładów inwestycyjnych. Potem przeglądałem to sprawozdanie.

Już na pierwszej stronie powód do zadowolenia. Wprawdzie ludność powiatu w ciągu roku zmniejszyła się o 127 osób, więc ludzie chyba szukają pracy dalej — ale jednocześnie tych miejsc pracy na miejscu przybyło 528. Podlaskie Zakłady Metalowe już rozpoczęły poważną rozbudowę, każdego dnia może zapisać ostętna decyzja o rozpoczęciu budowy nowych zakładów. Przemysł wykonał swoje plany z większą nadwyżką, niż średnia wojewódzka — przy prawidłowym układzie wskaźników ekonomicznych. W rolnictwie prawie wszystkie plony były wyższe od planowanych, zwłaszcza w PGR. Przy budowie i modernizacji dróg wszystkie wskaźniki pobito na głowę. W czynie społecznym buduje się 5 szkół, 11 świetlic, 10 remiz strażackich...

Nie, nie będę cytował więcej cyfr. Cyfry są wynikiem działalności ludzi. I o ludzi przede wszystkim chodził. Dyrektor Olejniczak, aktywista partyjny i działacz rad narodowych, nie jest swego rodzaju Judymem, nie może w dzisiejszym społeczeństwie działać sam, wbrew lub nawet obok innych. Jest jednym z wielu, bardzo wielu, jakich w Białej nie brakuje. Tak samo dzisiejszy ślusarz a jutrzejszy technik. Bo ja też w niego uwierzyłem.

Jerzy Dostatni

NAJLEPSZYM SPOSOBEM TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY” JEST PRENUMERATA

Informacja

POCZYTYNY dziennik popołudniowy stolicy zamieścił 24 marca na pierwszej stronie sensacyjną wiadomość pod ogromnym tytułem: „PLOTNA RENOIRA, CEZANNEA, UTRILLA I INNYCH SŁAWNYCH TWORCÓW OKAZAŁY SIĘ FALSYFIKATAMI WARSZAWSKI MALARZ PODRABIAŁ DZIEŁA WIELKICH MISTRZÓW I SPRAWDZAŁ JE ZA GRANICĄ”.

3 września ten sam dziennik również na pierwszej stronie, ale tym razem od samej góry, zamieścił nową wiadomość. Najbardziej ogromne zdjęcie obrazu, a pod nim tytuł: „FALSZOWANY CHAGALL: PROCES ARTYSTY, KTÓRY PRYMYTYWNE FALSYFIKATY SPRAWDZAŁ JAKO DZIEŁA NAJWIĘKSZYCH MALARZY ŚWIATA”.

Sensacja zbulwersowała stolicę, wiadomość przedrukowała wiele pism w Polsce. Na próżno jed-

nak w następnych numerach pozycylnie popołudniowy warszawskiej wronk szukał dalszego ciągu wiadomości. Dopiero 11 września co uważniejszemu czytelnikowi udało się wycisnąć krotki następną. Na drugiej już stronie między podręcznymi informacjami gubił się skromny tytuł: „Proces o sprzedaż fałszywanych obrazów”.

Wreszcie 18 września, również na drugiej stronie, ale już na samym dole, pod dziesiątkami innych informacji znalazła się niewielka notatka z dziwnie spokojnym i lakonicznym tytułem: „Wyrok w procesie malarza W. Siliwskiego”.

Ta metamorfoza tytułów i wdrożona wiadomość po gazecie jest bardzo ciekawym przykładem traktowania przez niektóre pisma swoich obowiązków rzetelnej informacji.

Cóż bowiem czytamy w wiadomości z 12 marca?

„Prokuratura stołeczna i Komenda MO na m. Warszawie prowadzi śledztwo w sprawie sprzedaży cudzoziemcovi dwóch obrazów sławnych malarzy europejskich Chagalla i Modiglianego. Obrazy sprzedane za sumę 7500 dolarów malarz Wincenty S. Szlonek Związku Artystów Plastyków... Gdy milicja wkroczyła do mieszkania malarza zauważyła masę obrazów zagranicznych mistrzów — ponad 100, w tym ok. 30 pędzla Chagalla, kilka płócien Renoira, Utrilla, Cezanne’a,

Kandinsky’ego i in. Wśród bieżących pisań widać widać przedstawiających ogromną wartość muzealną znajdował się również obraz Toulouse-Lautrec’a pt. „Pięćna cyrkowa”. Na odwrocie tego obrazu znajdowała się wyróżnia pierzatką galerii w Monachium... Prawdziwa bomba peklą gdy przysłał opinię biegłych. Rzeczoznawcy ci powołani przez muzeum wydał opinię, że wszelkie Chagalle, Renoiry, Toulouse-Lautrec i inne dzieła sławnych pedzli są fałszywkami. Dodac należy, że w ciągu kilku ostatnich lat za granicę ujawniono wiele tego rodzaju fałszyfków, podrobionych genialnie. Fałszykiaty te przyniosły ich autorom ogromne zyski, gdyż wartość obrazów malowanych przez znanych mistrzów sięga zawrotnych sum w dolarach”.

3 września gazeta uderza w ten sam wysoki ton. Informując o rozpoczęciu procesu malarza, jeszcze raz przypomina wszystkie zarzuty, stwierdzając autorytatywnie, że Wincenty S. dopuścił się przestępstwa fałszowania obrazów sławnych mistrzów i sprzedał ich jako oryginalnych dzieł, na domiar złego za dewizy i cudzoziemcovi. Ażera nie z tegoż ziem. Czytajcie rewelacje stołecznej popołudniówki człowiek popadł w rozterkę. Cieszył się z tego czy smucił? Z jednej strony jeszcze raz okazało się, że Polacy nie gęsi i swojego genialnego fałszykiatorka też mają. Z drugiej jednak zawsze to przestępstwo

wyciągać od cudzoziemca dewizy, nawet za fałszowane obrazy. Alisie poczytna popołudniówka nabrała wody w usta. Dopiero w kilka dni później można było przeczytać w skromnej notatce wstydliwie ukrytej, że malarz Siliwski (już pełne nazwisko!) — co za wycieczki! nie krył się z tym, że obrazy są kopiami sławnych mistrzów, pieniądze zaś przyjął jako zastaw do czasu, kiedy cudzoziemiec przekona się, jakiej wartości są te kopie.

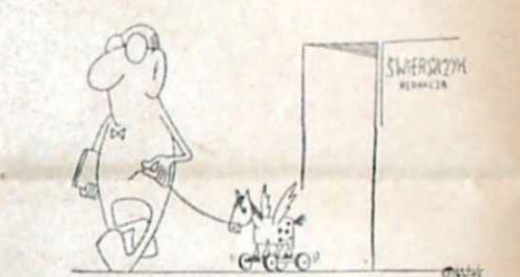
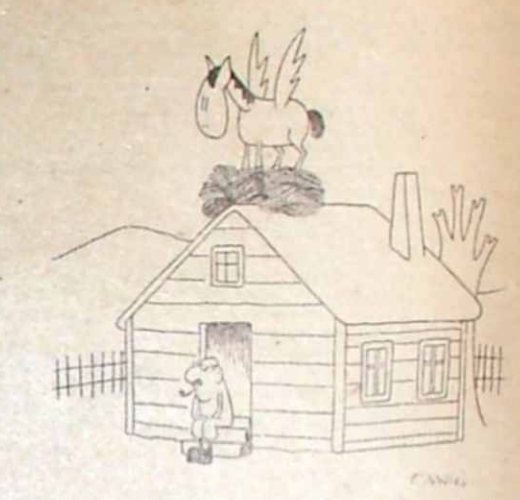
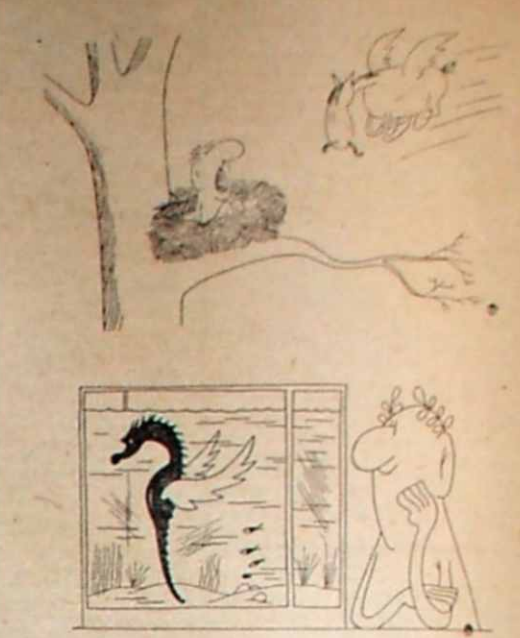
Wyrok sądu nie pozostawił żadnych wątpliwości. Malarz został uniewinniony z zarzutu oszustwa i podrabiania znanych dzieł w celu ich sprzedaży jako oryginalnych. Ukazany został natomiast za przyłecie od cudzoziemca obcych środków płatniczych, czyli za przestępstwo dewizowe.

O tym jednak poczytna popołudniówka ledwo zaczęła wspomnieć. Przy czym akurat po wyroku znikła gdzieś inwencja redakcji i niewiele brakowało, aby wiadomość ukazała się bez tytułu. A wszyscy myśleli, że zobacz na pierwszej stronie gazety wielki tytuł: CHAGALL NIE BYŁ SFALSZOWANY! ARTYSTA NIE SPRAWDZAŁ PRYMYTYWNYCH FALSYFIKATÓW JAKO DZIEŁ NAJWIĘKSZYCH MALARZY ŚWIATA, 8 MIESIĘCY ARRESZTU ZA PRZESTĘPSTWO DEWIZOWE.

Ech, marzenia!

BAR

Żarty z pegazem



RYSZARD PODLEWSKI FRASZKI Gwóźdź Uwaga! Kiedy

MINUTA MYŚLENIA

Psychologia-tak pedagogia - nie

JAK należało się spodziewać, „Koncert na viola d'amore” Lovella przyniósł fale odzewów. Jest ich na pewno więcej, niż zamieściła redakcja „Kultury”, sędzić by można, że za samą ilością kryje się jakiś społeczny problem. Tymczasem problem w ogóle jest tu trudno uchwytny. To znaczy — wiele spraw da się ułożyć w jego sąsiedztwie, ale i wielu owego sąsiedztwa można odmówić. Smierć Iwy nie może być argumentem wystarczającym dla socjologicznych i obyczajowych wniosków Lovella.

Przed wszystkim weźmy pod uwagę, że wiele z danych faktycznych opisanej sprawy autor musiał zastąpić supozycjami. Cała okoliczność zabawy sylwestro-

wel, która była punktem zwrotnym w zachowaniu się Iwy, jest nam znana tylko z domysłów. Nie wiemy, co do Iwy napisał Jarek. Czy na podstawie tonu, jaki znalazł się w liście Janka do Lovella, można wnioskować o treści jego listu do dziewczyny? Może sam siebie widzi (a przecież „dane faktyczne” tej sprawy zna chyba najlepiej z przytoczonych) jak najzwyklejszy wojownik od jakichkolwiek zarzutów, czyli że taka odpowiedź może świadczyć o jego niezręcznym, nie publikowanej sprawie, nie zaś o ujemnych, przypisanych mu cechach charakteru?

Dalej. Czy obecność Ireny na prawdę coś wyjaśnia? Czy Irena mówi coś ponad to, że Iwa zabiła się z miłości, a więc podaje rewelację, której Lovell nie znał? Nie mam na to wystarczających dowodów, ale coś mi ten fragment „Koncertu” traci mistyfikacją. Na zwołanie znalazła się Iwa... żywa... to znaczy siedemnastoletnia dziewczyna, która również targnęła się na życie z miłości, ale bezskutecznie, więc może mówić. I ten moment z „koncertu” czyni na czasach. Jakby nie celniej było zwrócić się bezpośrednio, z pominięciem owszem mniej praktyki obyczajowej, ale takiej, która przez swą zdawkowość w ówczesnych psychicznych warunkach Ireny raczej nie mogła chwycić.

Przecież Irena sama nagabuje zrezygnowanego już reportażystę nie wiedząc po co szuka z nią kontaktu. W czym nie przeszkodził nawet nieudolny anon.

„ka-owca”. A poza tym, czy możliwa jest teza o Iwie, jako dziewczynie zabitej przez „styl”, to znaczy zespół cech współczesnej obyczajowości młodzieżowej nie uznającej prawdziwego uczucia? Toż jej przykład — jeśli tak reprezentatywnie traktujemy — świadczy o czymś przeciwnym. I jeśli następne Iwy chcielibyśmy przed podobną tragedią ocalić, zalecać by raczej... więcej beztrokisi i swobody. Bo samobójstwa z miłości ludzie obu płci popełniają od wieków i wcale okres kanon ani klauzury od tego ich nie uchronił. Wierc w ogóle — więcej delikatności w sprawach serca? Owszem, ale musimy odróżnić niedelikatność od pewnego sztafażu obyczajowego typu „wdechowość”, „ubaw” itp., za którym nawet osiemdziesięcioletni Hamilton się opowiadał. I który to sztafaj może mieć pewne elementy nieestetyczne, ale również może nie mieć pewnych elementów nieestetycznych.

Wróćmy do Janka. Trudno wymagać, by w słowach „wiesz co, a może jednak nie” (powtarzamy: nie wiemy jak było, więc nie mamy prawa przypuszczać ewentualnie dla Janka najgorszej skierośnianych do dziewczyny, która nie stroni, czy nie stroniła od alkoholu, papierosów, „lewych” przywatek i tak dalej, przewidział śmiercionośną dla niego truciznę.

A teraz te głosy czytelników. W gruncie rzeczy nie są żadnym uzupełnieniem problemu, a

tylko gorzkimi żalami pod tym i owym adresem. Dobrze, że rozwiązał się jakiś worek z psychosocjologii, ale nie sądzmy, że sam wypadek samobójstwa jest kluczem mogącym otworzyć szkatule z konsekwentnie omiśloną metodą wychowawczą. Cóż powiedzieć? Odrzućcie dżiny, transzystory i w ogóle cały „styl”, bo jaka następna Iwa może się zabić przy violi d'amore. Rozumiem całą metafizyczność wymiennego instrumentu, ale przecież metafora mówi: poważnie traktujcie sprawy miłości, a nie: nie odbierajcie sobie życia. Co będzie, jeśli przy wrzniętej powagi wzrosnie właśnie ilość samobójstw na tle erotycznym?

Pytanie pozornie cyniczne. Jednakże nie ma na celu zachowania — nie przeczę, widocznych — chropowatości we wzajemnym traktowaniu się obu płci wśród młodzieży, ale wykazanie niweczy, starczalności, czy względności wniosków wysuniętych reportażem Lovella. Bo tych niekiedy uleczających fa jakąś grąją rolę niuansów uczuć, które zaszuflują serce tknięte miłością, w ogóle żadnym obyczajem czy wychowaniem zdeterminować się nie da.

Co nie oznacza, że „Koncert na viola d'amore” nie jest arcywnikliwa, zniewalająca w swej uczuciowości i trafności penetracja psychologiczna, dokonana na obszarze tragedii tej biednej dziewczyny.

Ijon

BIG-BEAT

Niby gniewnie a niby smutno

PANIE Redaktorze! Zapewne nie będzie się Panu chciało polemizować z felietonem (7) Pana Kazimierza Grzeszkowiaka zamieszczonym w „Kulturze i Życiu”, (dodatku do „Sztandaru Ludu” z 25 września, br. nr 706) pod wyjątkowo odkrywczym tytułem „Niby gniewnie a niby wesoło”. Ja też nie mam zamiaru tego czynić, ponieważ jednak rzecz dotyczy opowiadania Pana Stefana Wolskiego wydrukowanego w 17 n-rze „Kamieny”, z którą złączyłem się już zycie, chciałbym wypowiedzieć kilka drobnych uwag.

Jeśli mam być szczerzy, to i ja nie byłem zachwycony tym utworem, który — aczkolwiek utrzymany w pewnym nastroju — wydał mi się dość banalny i zdawkowy. Ale w otoczeniu domków campingowych niekiedy (zreszta zaraz „podrywając” lub też intensywnie przygotowywać się do egzaminów z psychologii u księdza profesora albo wrzeszcząc podspiewywać brzdękając na gitarze.

Pozostawiam jednak na boku sam utwór, pragnę natomiast zająć się metodą, jaką zastosował Pan Kazimierz Grzeszkowiak. Z dłuższego opowiadania wyciągnął kilka sformułowań, które wydały mu się płytkie, pełne frazesów, zarechotał i w konkluzji mianował Pana Wolskiego ministrem arcykapłanki Heleny Mniszek.

To mu jednak nie wystarczyło. Mimo tego, że duch jego się lekał (od kiedy to duchy straszą w dodatku do organu KW?) a ręką wzdrygał, musiał autorytatywnie stwierdzić, że „Ten dzieło i następne” nie jest opowiadaniem złym. „To jest już grafomania”. Nazwisko Pana Grzeszkowiaka znam z kilku zaledwie mniej czy bardziej zręcznych felietonów zamieszczonych we wspomnianej „Kulturze i Życiu”. Nie czytałem żadnej jego pracy krytycznej, żadnego utworu literackiego. W związku z tym nasuwa mi się drobne pytanie: czy napisanie kilku felietonów może kogokolwiek upoważniać do ferowania tak ostrych wyroków, do kształtowania — bo to jest kształtowanie — opinii publicznej? Chyba w dwudziestym drugim roku Polski Ludowej sędziowie mają już ma-



A my się lubimy...

gisterskie dyplomy nie mówią o długiuletnich doświadczeniach. Myślę, że Pan Redaktor dobrze mnie zrozumie. Panu Grzeszkowiakowi wolno prywatnie powiedzieć, że Iksinski jest grafomanem, bo napisał tak a nie inaczej. Kiedy jednak Pana Grzeszkowiak przelewa swoje myśli na papier, a gazeta owe myśli w stu tysiącach czy w stu dwudziestu tysiącach egzemplarzy upowszechnia — powinien pisać „niby gniewnie a niby wesoło”, ale jednocześnie przynajmniej „niby kulturalnie” „niby skromnie”. Zobowiązuję już do tego sam tytuł dodatku do „Sztandaru Ludu”, nie mówiąc już o tytule samego pisma, do którego eszuję tyle sympatii.

Redakcja „Kultury i Życia” proponuje w tym samym numerze rozmowę z czytelnikami i

współpracownikami) rzucając m. in. pytanie: „czy (dodatek) znajduje żywy oddźwięk swoich stwierdzeń, propozycji itp. w opinii czytelniczej i czy zyskał na tyle pobliża w stosunku do spornych, a niekiedy drażliwych kwestii naszego terenu”. Nie wiem, czy może budzić on zaufanie do owego p a r t i n e r s t w a . Niezależnie jednak od takiej czy innej opinii na ten temat proponowałbym, aby Redakcja „Kultury i Życia” zafundowała Panu Grzeszkowiakowi z redakcyjnych funduszy elementarny savoir vivre'u. A może nie tylko savoir vivre'u?

Co pan o tym sądzi, Redaktorze?

Jacek

I. P. S. A swoją drogą lubię ruch w interesie. Po raz pierwszy w tym roku „Kultura i Życie” zwróciła uwagę na „Kamienie”, chociaż „Kamienie” kilkakrotnie w przeglądzie prasy wspominała o ciekawych artykułach zamieszczonych w dodatku do „Sztandaru Ludu”. Wydaje mi się jednak, że „reklama” ukazała się przynajmniej o tydzień za późno: wspomnianego numeru z opowiadaniem Pana Wolskiego moi znajomi nie mogli już znaleźć w żadnym kiosku. Może pomyśleć o zwiększeniu nakładu, Panie Redaktorze?

II P. S. Pan Redaktor rozmawiał z mną o trzech listach, które otrzymał. „Agata”, „Iksa” i „Zenek” zainteresował się moją skromną osobą. Bardzo dziękuję, ale jak odpisywać na anonimy lub fikcyjne adresy? Chyba, że innym razem udzieli mi Pan miejsca na dłuższy big beat — odpowiem.

NOTY i notki

CZASEM WARTO jednak zajrzeć do książki, nim się coś napisze. Oburzając się na zły jakości długopis (b) w „Sztandaru Ludu” z dnia 23 września pisał: „nadaje się on wyłącznie do rycia znaków pisarskich na tabliczkach glinianych, które zastępowały kiedyś papier Babilończykom”. Sek w tym, że Babilończycy nigdy nie znali papieru, nie mogli więc niczego używać — w zastępstwie!”.

DO MUZEUM SIENKIEWICZA w Obiegorku napisał list pewien mieszkaniec Poznania, oferując do sprzedaży paszporty zagraniczne pisarza. Nawigowała się korespondencja, trwały targi o cenę, a gdy przysłał do finasu okazało się, że był to paszport syna — Henryka Józefa Sienkiewicza. Właściciel był oburzony, że nie dostał pokaznej smutki, Muzeum rozważa, że cenny dokument okazał się niezny.

NIE TYLKO INDIA ma święte krowy. Chłopi z kilku wsi powiatu Przysucha woj. kieleckiego w dniu św. Rocha zganiali bydy pod figurę owego świętego, sami modlą się, a rzeźcę stada solidnie akrapiają święconą wodą. Po czym te poświęcone krowy i byki leżą kijami do wlecia, aby zagać je do obór lub do rzeźnika. Konsumenty bełszy-

ków nie odróżniają jednak, które z nich usmażono z poświęconego bydelka.

„MAMY POWODY do miłośnu nieustraszonych. Pracujemy w Telewizji lub z nią współpracujemy. Cóż jeszcze gorzej może się zdarzyć?” — pisał odważnie Al. Małachowski w nr 18 „Współczesności”. Nie tyko może, ale i zdarza się dość często, panie Aleksandrze — oglądanie programu telewizyjnego.

WCIAŻ NIE MOZEMY się przywyczaić do tego, że rozmaite „Dni” trwają 3 lub 4 doby. W maju „Tydzień budownictwa” trwał trzy tygodnie. A teraz Prezydium MRN w Lublinie proponuje, aby 650 rocznicę nadania praw miejskich Lublinowi obchodzono dwa lata. Z tej okazji proponuje się także rozpisanie 6 konkursów ogólnopolskich na piosenkę, muzykę, literaturę itd. Na nagrody w tych konkursach przewiduje się aż 60 tys. zł. Ale jeden z członków Prezydium wyraził obawę, że jeśli na piener przewidzą Piętasz, to może zabraknąć pieniędzy na zakup jego dzieła.